Nr. 34. Warszawa, dnia 14 (26) Sierpnia 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem): W Warszawie miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5. Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych. Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach. Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Jeszcze paragraf 14.

Były jęki z powodu cukru, od którego akcyzę skarbową osławiony ten paragraf podwyższył; nie będzie uciechy z częściowego wprowadzenia prawa uchwalonego jeszcze za Badeniego, dzięki któremu obecnie już niżsi urzędnicy otrzymują podwyższenie pensyi. Tam paragraf sprowadził niezadowolenie, tutaj zadowolenia nie dopuści, że zaś bez Izb i bez paragrafu Austryą rządzić niepodobna, a źle czy dobrze rządzić nią potrzeba: stała zatem niechęć daje miarę stosunku rządzonych do rządu nietylko na dziś, ale i na wiele dni jutrzejszych. I nietylko Niemcy sarkają i sarkać będą: stronnictwa postępowe, przywiązane do rządów konstytucyjnych, jeśli nie czystą miłością — do której zachodzący ten wiek od lat blizko czterdziestu, od objęcia rządów w Prusiech przez Bismarcka, jest niezdolnym — to z interesu, gniewają się na zbyt długo już trwające zawieszenie konstytucyi. P. Daszyński świeżo znowu piorunował na rządy paragrafowe, a chociaż rządy konstytucyjne poddają mu również same tylko temata do piorunów, niemniej przecież chce on mieć konstytucyę, skoro jest posłem i ma prawo o nią krzyczeć w imię swoich i nie swoich praw politycznych. Ale przy tem prawie ma p. Daszyński i obowiązek: nie powinien zapominać, że jego to dzielna pomoc w październiku i listopadzie 1897 r. wsparła Niemców do tego wyuzdania, w którem paragraf —w bezprawności swej dostatecznie chyba przez nas napiętnowany — stał się niewesołą, nieprzepartą koniecznością.

Świat jest tak urządzony, że rozumni muszą pokutować za głupców, dobrzy za złych, użyteczni za trutniów. Nie wszystko w obozie niemieckim chce się odrywać od Austryi, ale wszystko, o ile się trzyma kupy, musi dźwigać odpowiedzialność za należących do niej Wolfów, Schönererów, Türcków i Irów. W obozie znowu przeciwnym nie wszyscy rozporządzenia p. Badeniego uważali za swoje własne, chociaż ich bronili i z Niemcami o nie zaciętą toczyli walkę. Czesi tylko, jako interesowani, gardłowali ślepo; rozumniejsi z innych narodowości czekali, co będzie: spodziewali się czegoś więcej, czegoś, coby tym rozporządzeniom nadało prawowitość przez samo postawienie obok nich rzeczy nieskończenie większych, donioślejszych i głębiej w stosunki państwowe Przedlitawii sięgających. Kawalerska polityka p. Badeniego w trokach swoich prócz rozporządzeń kwietniowych nie miała nic. Tam, gdzie rozsądek pozwalał, a nawet nakazywał, domyślać się pierwszych kroków do ogólnego federalizmu, było tylko ciągłe dreptanie w miejscu. Wśród rosnących nienawiści niemieckich malał wciąż słowiański, przedlitawski czy austryacki rozum polityczny. Zwłaszcza Galicya wysilała swój mózg na sławienie wielkiego męża stanu, cieszącego się zaufaniem cesarskiem, jak żaden przed nim — zaufaniem, którego też żaden przed nim tak szybko i tak boleśnie nie zmarnował, jak on, hr. Kazimierz Badeni. Dla zbliżenia się do Słowian, dla rzucenia pierwszych podstaw wspólnej polityki wobec wspólnego nieprzyjaciela — nie uczyniono nic.

Rozporządzenia i paragraf czternasty grają dziś rolę ciężarków rzuconych na szalę dla przeważenia opozycyi niemieckiej; ale trzeba przyznać Niemcom formalną przynajmniej słuszność, że tej opozycyi by nie było, gdyby nie one. Myśl krytyczna wie, że byłby zawsze duch niemiecki, nie-austryacki, który w jednym tylko wypadku po za granice Austryi by nie ciężył, nie szukał słońca w Berlinie: mianowicie, gdyby Austryę zagarnął dla siebie. Wszakże zadrażnienie stosunków przez pewne konkretne czyny nie od niego wyszło w r. 1897: winna jest strona przeciwna. Miała ona względem samej siebie i względem historyi obowiązek nie robić nic takiego, coby, będąc nowem, zamącając stosunki chwilowe, nie było początkiem nowej już epoki, mającej przynieść nowe urządzenie trwałych stosunków na przyszłość. Tego obowiązku prawica nie spełniła, a kto w niej zawinił, to już jej rzecz ustanawiać trybunały i ustawiać szafoty: odpowiedzialni są wszyscy, którzy bez programu politycznego działali i działanie popierali. Wszystkich ich wraz z Niemcami zmieść musiał paragraf czternasty. A jak długo jeszcze zamiatać będzie? Co zostaje cesarzowi, jeśli Izba deputowanych nie zdoła wybrać delegacyi przedlitawskiej we wrześniu? Bez delegacyi przecież nie będzie ani wspólnego budżetu, ani dochodów po nad cła i akcyzy wspólnie sięgających. Machina stanie.

Nadejdzie moment psychologiczny. Cesarz Franciszek Józef, dla którego jubileusz 1898 r. był świętem podwójnie i potrójnie żałobnem, może odwrócić się od ludzi, z którymi teraz trzyma, do ludzi, przeciw którym idzie. Odwołanie rozporządzeń wystarczy do pierwszego ich przyciągnięcia ku sobie: ale oni tem się nie zadowolą. Gdy powrócą, to, jak tu już powiedziano, będą straszni. Galicyę może wydzielą z obrębu swych eksperymentów, aby im nie przeszkadzała i samą masą nie tłoczyła ich zamysłów, postanowień jawnych i czynów: ale nad resztą nie zaznają litości. Czesi wyjdą z Rady państwa? Bez Cze-

chów łatwiej rządzić, niż bez Niemców. Raz dostawszy się do rządów, żywioł niemiecki całe słowiańswo, klerykalizm autonomiczny weźmie na munsztuk. Dopomoże mu dyplomacya. Kto wie, czy to, co możliwem było jeszcze za Badeniego, dziś nie rozbiłoby się już, niezależnie od przeszkód wewnętrznych, o granitową skałę przeszkód dyplomatycznych, czy cesarstwo niemieckie obecnie już nie wtrąca się do spraw wewnętrznych sprzymierzeńca, mówiąc Austryi, jej dworowi: poty się posuniesz przeciwko Niemcom, nie dalej? A prócz dyplomacyi niemieckiej jest jeszcze i polityka węgierska. Ta znowu czyha na słabość Słowian, pragnie hegemonii niemieckiej w Przedlitawii, w tonie jej nieładu zapuszcza sieci, aby ciągnąć coraz nowe korzyści, a z czasem wbić się już na punkt, z któregoby mogła jako strona silniejsza dyktować warunki słabszej, do wywarcia siły niezdolnej. W sobie, czy naokoło siebie, Austrya ma prawie samych tylko wrogów.

Tydzień polityczny. Proces Dreyfusa ciągnie się dalej i końca jego jeszcze nie widać. Zeznawali w ubiegłym tygodniu i w początku bieżącego: konfrontowani z sobą Mercier i Casimir-Perier, Boisdeffre, Gonse, pierwszy z nich naczelnik, drugi pomocnik naczelnika sztabu generalnego w r. 1894, Cavaignac, były minister wojny Billot, Zurlinden, Chanoine, Hanotaux, pułkownik Picquart, major Lauth, interesująca pani Henry, żałosna wdowa po nieodżałowanym samobójcy, były sędzia, a obecnie handlarz koni skazywany za nieprawidłowość w handlu, Dubreuil, przyjaciel Beaurepaire'a, wreszcie wielu kapitanów, majorów i pułkowników, którzy wszyscy prawie świadczyli przeciwko oskarżonemu. W sprawę wmieszano pełnomocnika wojskowego ambasady austryackiej, Schneidera, wmieszano nawet sam rząd austryacki, który aż publicznie wtrącania się w proces wypierać się musiał. Chodziło o list z listopada 1897 r., jakoby obciążający Dreyfusa, a przez wrzekomego autora wcale nie napisany. Gen. Mercier nie chce powiedzieć, skąd list ten dostał; odmawia też wyjaśnień, dlaczego zatrzymał u siebie tajne akta (dossier), gdy już nie był ministrem. Przewodniczący, pułkownik Jouaust, nie był dość ciekawym, aby pytanie Laborego, który po zamachu z d. 14 b. m. wrócił już na swe stanowisko, zadać od siebie opornemu generałowi. Wypłynęła też na wierzch sprawa obrony Esterhazego przez sztab generalny—obrony prowadzonej przez gen. Gonse'a. Ten znowu generał nie opancerzył się milczeniem: owszem przyznał, że z jego zgodą napisał Esterhazy list anonimowy do Faure'a, w którym tenże zagroził interwencyą cesarza Wilhelma. I generał francuski na taki list się zgadza, a przewodniczący uważa tę okoliczność za bagatelkę i otrząsa ją jak popiół z cygara!

Panizzardi ogłasza, że *„Cette canaille de D."* oznacza oficera armii francuskiej, ukrywającego się w tajnych sprawkach pod imieniem „Dubois." Domyślają się tu Paty de Clama. Orędownikiem tego przedstawiciela honoru armii francuskiej d. 23 b. m. był również generał Gonse. Nieobecność Paty'ego, który w sprawie Esterhazego umiał połączyć urząd najżarliwszego obrońcy z urzędem sędziego śledczego, według komisarza rządowego wkrótce się skończy: major stanie w sądzie jako świadek. Był on przyjacielem Henry'ego, żył z blizka z Esterhazym. Haniebne i sprawiedliwość i honor wojskowy uniewinnienie dzisiejszego wygnańca londyńskiego, z uściśnięciem dłoni połączone—nie było w takich warunkach trudne. Posiedzenie z d. 23 b. m. jest bardzo ważnem. Odsłoniło ono i lekkie życie Dreyfusa, i lekkie sumienie owego Dubreuila, który oskarżonego ukazuje już w r. 1886 jako zdrajcę znoszącego się z obcymi *attachés*. fałsz z tych boreperowskim duchem natchnionych zeznań tryska do oczu. Honor wojskowy świetnie się zamanifestował d. 23 b. m. Przy odczytywaniu zeznań Esterhazego w sądzie kasacyjnym ze stycznia r. b. wszyscy oficerowie jedną bryłą wytoczyli się z sali.

Przez dwa tygodnie blizko rząd francuski toczył walkę policyjną z niejakim Guerinem, prezesem ligi antisemickiej w Paryżu. Prezes ten zabarykadował się w swej rezydencyi przy ulicy de Chabrol, wraz z towarzyszami, i nie chciał się poddać rozkazowi uwięzienia, wydanemu przez sąd, wskutek odkrycia spisku na rzeczpospolitą. Ruchawka z zewnątrz objawiała mu czynne współczucie.

W niedzielę d. 20 b. m. socyalista Faure (Sebastyan) urządził manifestacyę przeciw rządowi w Paryżu. Motłoch napadł na kościół. I prowadzący i prowadzeni nie wiedzieli, czego chcą. W związku z Guerinem i bez tego związku były przez cały tydzień do 20-go bójki, w których ogółem 400 ludzi z obu stron odniosło rany, kalectwa i stłuczenia; są nawet zabici.

Zapowiadane aresztowanie nacyonalistów (bulanżystów) Millevoye (przez pomyłkę w przeszłym numerze nazwanego „Millerand"), Drumonta, Lasies'go i innych nie sprawdziło się.

W Prusiech gwałt: wbrew wyraźnej woli cesarza Izba deputowanych d. 17 b. m. w pierwszem, a d. 19 w drugiem czytaniu odrzuciła projekt kanału łączącego Ren z Elbą. Miquel zachwiany, zachwiany jeszcze pewniej sejm, rozwiązanie nieuchronne.

Anglia gromadzi wojsko na Przylądku; korzysta z przemocy nad Portugalią, aby wymusić na niej zakaz sprowadzania broni do Transwalu przez Lourenço Marquez. Kruger podobno ulega i zgadza się na obywatelstwo po 5 latach i przedstawicielstwo w Volksradach, przynajmniej w jednym.

Zaburzenia w Austryi nie ustają. W Styryi urzędnik odmówił wciągnięcia tytułów prawnych ministeryum oświaty do księgi z powodu nieuchwalenia budżetu przez Izby.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NOWE SZKOŁY.

Wiedza czysta w gorączce rozwoju ekonomicznego zatraciła swą „czystość." Sama jeszcze pamięta odległe czasy niezależności i wzlotów idealistycznych. Potomstwem jej są różne gałęzie wiedzy, które w ostatnich czasach wytworzyły specyalizacyę — znamię wielkiego postępu. Rozwinęła się ona dziś szeroko we wszystkich dziedzinach pracy ludzkiej, zarówno ekonomicznej: jak i umysłowej, stała się podstawą i źródłem siły nieprzebranej. Bakteryologia, która jeszcze niedawno była tylko szczegółem jednej dziedziny nauki, dziś nietylko stanowi osobną gałąź, nietylko odgrywa pierwszorzędną rolę w medycynie, ale jest dźwignią wielu gałęzi przemysłu (gorzelnictwa, piwowarstwa itd.) i już doczekała się osobnej katedry w uniwersytecie. Elektrotechnika poszła dalej. Jeszcze przed paru dziesiątkami lat

Włodzimierz Bugiel

DWIE ŚMIERCI.

OPOWIADANIE LETNIE.

Mur, który otaczał na pół zwalony pałac, przemienił się na nasyp ustrojony kwieciem i darniną. Z każdej szczeliny wyglądały kępy traw, białe krzaczaste rumianki skoczyły, jak rozpustne chłopaki na sam wierzch. Żółty rozchodnik świdrował korzonkami zbutwiały cement. Nawet krzak róży, o kwiatach nie różowych, ale barwy cynobru chwiał się na szczytach kamieni, okwitnięty, czerwony, jak zgrzana dziewucha.

A za murem była powódź kwiecia i zieleni. Gęsta, po pas sięgająca trawa falowała pod lada wietrzykiem. Z niej podnosiły błękitne główki bławaty, białawe wiechy przetacznika, śniado-zielone, pachnące gałązki piołunu. W wielu miejscach, jak prostactwo rozpierające łokciami sąsiadów, panoszyły się szerokie, okwitłe żółto od dołu do góry janowce. Miejscami pokrzywy, różowe osty, szałwie lub dziewanny, zbijały się w gromadki. I jakby mało było im miejsca na dużej przestrzeni ogrodu, podstępowały bardzo pod sam pałac, a niektóre sadowiły się na jego ścianach.

Jeden tylko zakątek wyróżniał się znacznie od reszty. Utrzymał się w nim zabytek dawnego ogrodu, duży zagon róż. I one strzeliły wysoko. Były białe i pełne, żółte jak cytryna z pierwszym tylko okółkiem korony, ciemno amarantowe, różowe, ceglaste. Duże i urodziwe lub drobniutkie a zalotne. Inne cieliste rozwijały tylko połowy swoich kwiatów, a pachniały na całą przestrzeń. Kilka krzaków rzuciło ramiona na blizkie drzewa: wdarły się na pewną wysokość i jakby chciały podrażnić siostry u dołu, spuszczały ku nim gałęzie, łechcąc je za silniejszym powiewem wiatru. Zwykle wówczas zrywała się z drzew gromadka ptaszków i leciała w zioła i bujne trawy, albo zdążała do odleglejszego nieco parku.

Ten zaś szumiał bogaty w dęby, w buki i lipy, topole i graby. Czeremchy wpłatały się tam między jesiony, jedną aleję brzeźyły kasztany. Na wierzchu rosła gromadka pinij włoskich. Z kamiennej ławki oko ogarniało piękny widok, tymczasem droga zbiegała w dół i gubiła się w zaroślach. Zejść nią nieco niżej, a przez liście poczynało przeglądać wodne zwierciadło. Bo w kotlinie połyskiwało jeziorko.

Zresztą cicho, ani żywej duszy. Ścieżki zarastały trawą i drzewa tylko toczyły z sobą niemy bój o światło. Obszary niegdyś czysto okrywała miodunka i dzikie fiołki. Ptactwo za to gwarzyło w wierzchołkach i u nasad pni: tłuste, rudawe drozdy, czarne kosy, szpaki przelatujące tłumnie z drzewa na drzewo. Pojedyncze zaś popisywały się sikory, zgrabne pliszki i makolągwy.

I tylko na dwóch krańcach park miał mieszkańców.

W jednem ze skrzydeł pałacu, w dwóch pokojach, co nie uległy jeszcze zniszczeniu, mieścił się starzec, niegdyś odźwierny, teraz dozorca całego mienia i jego zarządca. Rosły i siwy nosił bliznę na lewej twarzy, pamiątkę bojów na równinach Andaluzyi. Zdrów był kiedyś i czerstwy, dziś ręce mu drżały, a w nodze odzywał się postrzał. Mimo to zrywał się jeszcze codzień rano. Ból jakiś płynął mu po stawach, coś paliło kości biodrowe, ale żołnierska hardość przemagała cierpienie. Chwytał rydel i pracował w ogródku warzywnym. Często krzątał się około róż, niekiedy w gąszcz drzewną wnikał i jakąś ścieżkę oczyszczał. Ale nieraz narzędzie wymykało mu się z rąk i starowina siadał lada czem znużony. Pod wieczór patrzył w słońce gasnące i zdawało mu się zawsze, że ono gdzieś odchodzi w kraje przeszłości, w ziemie, gdzie jego dni dawne, gdzie jest wszystko, co miłował, z czem żył.

Często odwiedzała go młódź ze wsi i opowiadał jej o dawnych czasach i czynach

drzemała ona w zasadach fizyki szkolnej. Dziś tak się rozrosła i stała się tak wielką podwaliną rozległych dziedzin pracy ludzkiej, że już posiada nie jedną katedrę, lecz osobne niższe i wyższe zakłady naukowe.

Niedawno powstał jeden z nich w Petersburgu, z charakterem zakładu średniego i miał obsługiwać całe państwo. Tymczasem krótka praktyka wykazała, że nie odpowiada on nawet w drobnej cząstce potrzebom rzeczywistym. Postanowiono tedy instytut elektrotechniczny przekształcić zgodnie z wymaganiami szybkiego postępu. Według nowej ustawy, zakład ten posiada pięć kursów, które obejmują następujące przedmioty: matematykę wyższą, geometryę wykreślną, teoryę machin, teoryę mechaniczną ciepła, mechanikę stosowaną, mechanikę budowlaną, technologię mechaniczną, fizykę, chemię, elektrochemię, elektrotechnikę, instalacyę linij elektrycznych, telegrafy elektryczne, telefony i sygnalizacyę elektryczną, kreślenie, sztukę budownictwa i ogólne zasady architektury cywilnej, topografię, prawoznawstwo ogólne i specyalne, układanie budżetów i rachunkowość techniczną, nadto języki: francuski, angielski i niemiecki (obowiązkowy tylko jeden). Oprócz powyższych przedmiotów teoretycznych są także zajęcia praktyczne w pracowniach specyalnie urządzonych, tudzież na stacyach: telegraficznych, telefonicznych i maszyn elektrycznych.

Miejsc w instytucie jest zaledwie 300. Prawo wstępu służy poddanym rosyjskim wyznania chrześciańskiego, którzy skończyli gimnazyum, szkołę realną z klasą dodatkową lub inne zakłady stosowne. W razie nadmiaru kandydatów, o przyjęciu decyduje egzamin konkursowy z matematyki, fizyki i języka rosyjskiego w zakresie kursu gimnazyalnego. Ci, którzy skończyli wydział fizyczno-matematyczny uniwersytetu lub wyższy zakład techniczny, będą przyjmowani na drugi kurs bez egzaminu. W poczet studentów instytutu mogą być przyjęci urzędnicy pocztowo-telegraficzni, o ile ich cenzus naukowy pozwala na to. Podczas pobytu w instytucie pozostają oni nadal na liście urzędników i pobierają pensye, nieprzekraczające normy 450 rb. rocznie. Po skończeniu nauk muszą odsłużyć po półtora roku za każdy rok, w którym podczas studyów pobierali pensyę. Wolni słuchacze mogą być przyjmowani na zasadzie każdorazowego pozwolenia ministra spraw wewnętrnych. Opłata szkolna wynosi 50 rb. rocznie. Instytut rozporządza 30 stypendyami po 300 rb. Po skończeniu całego kursu i zdaniu egzaminu przed komisyą specyalną, studenci otrzymują stopień inżeniera-elektrotechnika 1-ej lub 2-ej kategoryi, stosownie do wyniku egzaminu. Stopień ten, na równi z inżenierami-technologami upoważnia do opracowywania planów i do wszelkich instalacyj elektrotechnicznych oraz robót telegraficznych. Studenci, korzystający ze stypendyów rządowych, muszą natychmiast po ukończeniu instytutu wejść na służbę do ministeryum spraw wewnętrznych i przebyć na niej za każdy rok szkolny po półtora roku, ale nie dłużej niż sześć lat, o ile bezpośrednio po skończeniu zakładu rząd zechce skorzystać z ich usług.

Szczegóły te niewątpliwie zainteresują i naszą młodzież, która pod naciskiem potrzeby w ostatnich czasach ujawnia coraz większą dążność do kształcenia się fachowego. Elektryczność w naszym kraju stała się dźwignią wielu gałęzi przemysłu, nadto w miastach a nawet na wsi wchodzi ona coraz bardziej jako środek komunikacyjny i oświetlający. Pozostają jeszcze szerokie pola, dotąd niewyzyskane, które niewątpliwie w krótkim czasie ożywią się pracą gorączkową przy pomocy elektryczności w najróżnorodniejszych postaciach. Potrzebna więc będzie znaczna rzesza fachowców uzdolnionych. „Nadprodukcyi" ich nie można się dziś obawiać, gdyż w stosunku do rozwoju pracy, której podstawą jest elektrotechnika w całym zakresie, zbyt powoli i zbyt małemi, może nawet zanadto małemi gromadkami będą się wytwarzali owi fachowcy.

Kraj nasz wymaga i gwałtownie poszukuje specyalistów w różnych zakresach pracy. Wynikiem tych potrzeb jest między innemi szkoła przemysłowa, która od nowego roku szkolnego, tj. za parę tygodni, powstanie w Łodzi na miejscu dawnej wyższej szkoły rzemieślniczej. Wychowańcy tego zakładu będą mogli natychmiast po otrzymaniu patentów obejmować stosowne stanowiska w fabrykach. Szkoła będzie siedmioklasowa. W pierwszych czterech klasach będą wykładane przedmioty ogólnie kształcące, z uwzględnieniem wszakże specyalnych kierunków kursu całkowitego. Najważniejsze atoli znaczenie będą miały zajęcia praktyczne. W tym celu zakład naukowy ma do rozporządzenia trzy laboratorya: chemiczne, technologiczno-chemiczne i farbierskie, tudzież dwa warsztaty: mechaniczny i tkacko-przędzalniczy.

Będziemy tedy mieli jedyną w kraju szkołę, kształcącą fachowców w zakresie tkactwa i farbierstwa. Przemysłowcy zrozumieli swój interes, przyszli nareszcie do przekonania, że produkcya krajowa sił fachowych będzie tańsza, niż zagraniczna. Chociaż jednak rządzili się oni tutaj względami czysto osobistymi, zakład ten wszakże będzie miał ważne znaczenie dla naszej młodzieży. Znajdzie ona tańszy niż dotychczas sposób zdobycia wiedzy specyalnej, a więc ci, którzy z braku środków musieliby pozostać na niższych szczeblach pracy mniej produkcyjnej, potrafią posiąść uzdolnienie, które zapewni im korzystniejsze warunki pracy.



Zmrok już zapadał, wszystko cichło, w trawach świerszcze zaczynały śpiewać, a on mówił. Ale nieraz ogarniał go taki smutek, że rzucał zajęcie, ogień w kuchence, gdzie jadło warzył, brał stary kij i wspierając się nań, zagłębiał się w park. W kieszeni nósł trochę chleba. Szedł ku jeziorku, a gdy nad niem stanął, rozjaśniała mu się twarz.

Jak łódka fantastyczna, biały jak śnieg, dumny i niby w jakiemś marzeniu zatopiony, żeglował po świetlanej przestrzeni, śliczny, duży łabędź. Ujrzawszy starca przecinał błyskawicznie dal, która go odeń oddzielała, wyciągał szyję, otwierał szeroko skrzydła i wyskakiwał na brzeg, albo zatrzymywał się tak blizko, że dziobem stóp przybysza dotykał.

Dobry, dawny druh, wspólnik przeszłości!

Ileż lat temu puszczono go jako małe pisklę na zwierciadło jeziora! Żółtawy, potem szary przypominał zrazu gąsię, lecz z biegiem miesięcy okryła go biała szata pełna wdzięku. Ów, co go teraz odwiedzał, był wówczas małym chłopakiem, używanym do posługi przy ogrodniku. Często zbiegał nad wodę, wyciąć z łóz fujarkę, a widząc się samym, zatrzymywał się na chwilę przy brzegu, patrząc na łabędzie albo drażniąc je prętem.

Bo i było ich wówczas całe stado. Piętnaście lub dwadzieścia, a gdy rozwinęły skrzydła, gdy pierś ich silna jęła pruć fale, podczas kiedy szyje pełne wdzięku wznosiły się harmonijnie nad wodą, zdawało się, że płynie jakaś flota zaklętych dziewic. Te zaokrąglone kształty, miękie zarysy, giętkie i obmyślane ruchy, biel świetna i czysta na przestronej, jaśniejącej od słońca tafli dziwnie wpadały w młody umysł.

Wielkie i rosłe drzewa otaczały jezioro, dzikie krzewy tłoczyły się nad niem, nieduża wysepka z egzotycznemi roślinami widniała w jednej stronie, cisza panowała nad wszystkiem. Pod błękitem śpiewała para skowronków. Łabędzie dumnie mknęły po wodzie. I w szarej, chłopskiej duszy budziło się na ten widok święte uczucie poezyi.

Dawno te czasy minęły. Chłopak podrósł i wszedł w koleje życia. Z niejednego pieca chleb jadł, niejedną gorycz wypił i wreszcie pod brzemieniem wieku schylił się, jak stara olcha, której korzenie podmyła woda. Lata ognia, młodości i siły przeszły, a kędziory jego niegdyś tak piękne, dziś śnieg siwizny obielił.

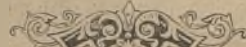
Łabędź zaś zawsze na jeziorze przebywał. Ale i z nim ileż zmian zaszło! Chłopca już wtedy nie było, razem z dwoma młodzieńcami z pałacu bił się na wojnie. Została tylko ich siostra i starzy rodzice. Codzień hoża dzieweczka przybiegała ubitą dróżką nad wodę i wołała na łabędzie. Białe ptaki otaczały ją kołem, jedne tuliły się do jej stóp, drugie okrążały ją stąpając majestatycznie. A ona rzucała im pełną dłonią przysmaki: bułkę, cukier i ziarno i głaskała główkę każdego.

Gdy zaś odchodziła, łabędzie odprowadzały ją, a ona znikała w zielonym parku, smukła i piękna, jak lilia ogrodów.

I ona opuściła zamek, państwo umarli, jeden panicz zginął, drugi długo nie wracał. Przybył wreszcie ranny i schorzały, służba rozbiegła się, jedynie nasz starzec zamieszkał z nim. Pustoszało wszystko i dziczało, wreszcie i on poszedł za ojcami. Kilka jarzębin chwieje się nad grobem całej rodziny; gdyby łabędź miał serce człowiecze, gdyby jak człowiek zrastał się z przeszłością, w cieniu tych drzew widziałby zamknięty duży szmat swego życia...

Był jeszcze spadkobierca, daleki krewny, ale chorowity, żyjący zdala od kraju, nie troszczył się o rozkoszne zacisze. Przynależne pola wypuścił w najem, w pałacu zaś zostawił, zgodnie z wolą ostatniego dziedzica, jego towarzysza broni i nawet przez ciekawość ostatnimi laty ani do parku, ani do gmachu nie zajrzał.

(D. n.).



KRONIKA POZNAŃSKA.

Sprawa polska w prasie niemieckiej.—Walka z obecnym systemem germanizacyi. — Sześć pigułek, które mają ostatecznie zabić organizm polski. — Samowola burmistrza. — Nagana za Litwinów. — Wiec w Nisie. — Agitacya *Dziennika Szląskiego*. - Naganiacze z komisyi kolonizacyjnej.

Sprawa polska namiętnie zawrzała na szpaltach prasy niemieckiej, a co najcharakterystyczniejsza — między szermierzami są „bezstronni," którzy prowadzą walkę z organem hakatystów o... Polaków! Do takich obrońców należy *Kolnische Volkszeitung*, która wogóle potępiła obecną politykę germanizacyjną, stosowaną nietylko względem Polaków, lecz także innych narodowości. Pismo rozgląda się najpierw na kresach zachodnich państwa: „Ostatnie wiadomości o wielkim wzroście studentów z Alzacyi i Lotaryngii w uniwersytetach niemieckich świadczą, jak szybko i bez przeszkód rozwija się germanizacya na kresach zachodnich. Od r. 1815, kiedy to jeszcze w krajach nadreńskich panował duch i język francuski, widzimy stałe cofanie się francuzczyzny w całych Niemczech zachodnich. Jest to bardzo znamienne, że duch niemiecki mógł skuteczniej oprzeć się francuzczyźnie, niż polonizmowi. Pomimo iż każdy chłop w wyższych szkołach niemieckich uczy się po francusku, język francuski umyka ze spornych terytoryów nadgranicznych, gdy tymczasem nasi hakatyści utyskują na rozrost polonizmu. Przyczyna tkwi prawdopodobnie w fizycznej sile Słowiańszczyzny, gdy tymczasem romanizm ulega zwyrodnieniu. Zaznaczyć jeszcze należy, że pod względem płodności Francuzi zajmują w Europie ostatnie miejsce, Polaków zaś przewyższają tylko Irlandczycy. Niemniej ważną przyczyną zupełnego niepowodzenia germanizacyi w Poznańskiem jest ucisk polityczny, zaciekłość hakatystów i nierozwaga biurokratyzmu. Dopóki policya nie zdoła zakazać rodzenia dzieci polskich, póty walka będzie jałowa, tem bardziej, że biurokracya niemiecka zapomniała o starej prawdzie: wszelki ucisk wywołuje opór. Polacy zawsze odznaczali się niezgodą, która doprowadziła ich państwo do upadku. Dopiero ucisk obecny tak ich wzmocnił i skupił, że się mogą skutecznie opierać wszelkim systemom i sposobom germanizacyi. Jeżeli chodziło o zgermanizowanie ich, nie należało obierać takiej drogi niefortunnej."

Organ koloński nie szczędzi chłosty i ironii tym polityko-fuszerom, wytyka im błędy zasadnicze i tę namiętność względem trzeźwych pism niemieckich. (Tak np. za tę trzeźwość i bezstronność *Kolnische Volkszeitung* nazwano „polskiem pismem nad Renem").

„My, którzy jesteśmy na oku całego świata - woła *Koln. Volkszeitung* — mamyż wobec niego bronić niemczyzny w Ameryce, Austryi, na Węgrzech, żądać, aby językowi niemieckiemu przyznano jego prawa?! Wszyscy, do których zwrócimy się z tem żądaniem, wyśmieją i wyszydzą nas bez ceremonii, wskazując Polaków, zamieszkałych w państwie pruskiem. Może nawet obce rządy odpowiedzą nam szyderczo, że wzięły sobie za wzór politykę pruską."

Takie ostre potępienie polityki, ucisku i gwałtu, wywołało straszliwe oburzenie śród jej wyznawców. W odpowiedzi na taką krytykę postawili oni następujące wnioski: 1) Zakazać Polakom nabywania ziemi; 2) całkiem usunąć ze szkół naukę języka polskiego i naukę religii w języku polskim; 3) użyć militaryzmu do germanizacyi w dalszym ciągu; 4) zmusić gazety polskie, ażeby obok tekstu polskiego drukowały niemiecki. 5) prawo o stowarzyszeniach poddać rewizyi w duchu antypolskim; 6) prawo o języku urzędowym z r. 1876 przekształcić ze względu na stowarzyszenia polskie. W taki sposób fanatycy germanizacyi chcą się popisać przed cywilizacyą świata!

Zresztą gwałtowniejszymi środkami w czynie popisują się siepacze pruscy, o czem już niejednokrotnie mieliśmy sposobność nadmienić. Obecnie mamy jeszcze jeden charakterystyczny fakcik, dowodzący, że samowola i bezczelność urzędników niemieckich nie ma granic: Miasteczkiem poznańskiem, Gniewkowem, zwanem po niemiecku „Argenau," trzęsie niemiłosiernie burmistrz, p. Kowalski, Niemiec z ducha i mowy. Otóż w zapędach swojej gorliwości posłał on następujące wezwanie do właścicielki hotelu miejscowego: „Wzywam panią, ażebyś w ciągu ośmiu dni usunęła umieszczony w sali balowej portret polskiego poety narodowego, Adama Mickiewicza. Jeżeli pani w tym terminie nie zastosuje się do rozporządzenia niniejszego, będziesz musiała zapłacić karę w wysokości 10 marek lub odsiedzieć jeden dzień w areszcie." Pokurczo najgłośniej szczekają i najboleśniej gryzą. Cecha ta sprawdza się także na p. Kowalskim, burmistrzu Gniewkowa. Jak dalece samowola ta jest rażąca, świadczy oburzenie nawet Niemców. Oto co piszą *Pos. Neu. Nachr.*: „Groźba ta jest paradna! Zagrożona pani uczyni dobrze, jeżeli niezwłocznie wniesie zażalenie z żądaniem, aby władza nadzorcza wytłomaczyła burmistrzowi, gdzie się kończy zakres jego prawa i gdzie się zaczynają granice śmieszności."

Prasa hakatystów czasem zdumiewające robi skoki. Kto się np. spodziewał, że *Schles. Ztng* wypowie następujące poglądy o polityce, stosowanej względem Litwinów pruskich: „Chłop litewski jest człowiekiem prostym, zupełnie z prawdziwą pobożnością zatopionym w Biblii i śpiewniku. Te dwie książki tworzą najczęściej cały jego księgozbiór. Niemal całe Pismo święte umie on na pamięć, w życiu zaś codziennem chętnie się powołuje na sentencye i maksymy biblijne. Liturgia litewska pokrewna jest z niemiecką: ma jednak mnóstwo odrębnych swoich właściwości, szczególnie pieśni kościelne ze swemi melodyami wielce się różnią od niemieckich. Otóż kto ten związek między wiarą a językiem podkopuje i osłabia, musi przez to naruszyć wewnętrzne uczucia religijne Litwina i wystawić je na niebezpieczeństwo. Litwini starzy, patrząc na swe dzieci, modlące się po niemiecku, płaczą i mówią, że Bóg nie może rozumieć takiej modlitwy. Na pozór jest to śmieszne, ale trudno im odmówić racyi. W Kłajpedzie i po wsiach, zwłaszcza na północ od niej położonych, w ostatnich latach zapuściła mocne korzenie socyalna demokracya, tak dalece, iż kandydat socyalistyczny, Brauns, przy ostatnich wyborach do parlamentu otrzymał w Kłajpedzie prawie tyle głosów, ile razem trzej przeciwnicy jego, a we wsiach północnych socyaliści nawet wzięli górę nad konserwatystą Niemcem, liberalnym narodowcem i postępowcem. Fakty te nasuwają poważne myśli, które można sformułować w sposób następujący: Im szybciej Litwin się zniemcza, tem łatwiej wpada w sieci socyalizmu, albo w męty innych prądów politycznych. Na to jedyny byłby środek zbawienny: pozostawienie ludowi litewskiemu jego tradycyj i cech narodowych. Germanizacya nadto przynosi szkodę Prusom Wschodnim pod względem ekonomicznym, gdyż Litwini, nauczywszy się tam gardzić swoją mową, lekceważą zarazem swój kraj rodzinny i idą tłumnie do wielkich miast lub w głąb Niemiec, gdzie marnieją, giną, albo stają się zasiłkiem dla apostołów przewrotu. Tym sposobem krajowi ubywa pożytecznych rąk do pracy. Prawda, że do Prus Wschodnich przychodzą natomiast Litwini z państwa rosyjskiego, ale zysk ten jest bardzo wątpliwej wartości z tego względu, że owi przybysze są wyznania katolickiego, mocno się trzymają swej mowy ojczystej i mają pewien wstręt do Prusaków. Z takich przybyszów powstało już siedem gmin litewsko-katolickich (3,000 dusz). Serce i oczy tych ludzi zwracają się na Wschód. Państwo niemieckie przygarnia do siebie żywioł niewygodny!"

Dzięki tej podwójnej mierze wyznaniowej, niezgodnej z zasadami logiki, organ hakatystów stał się tym razem zdrajcą swego stowarzyszenia, gdyż haniebnie potępił jego działalność.

Sprawa języka polskiego na wiecu w Nisie jeszcze żywo porusza opinię publiczną. Cytowana powyżej *Koln. Volkszeitung* zalicza do szkodliwych objawów szowinistycznych opozycyę przeciwko językowi polskiemu na tym wiecu. „Nisa jest wprawdzie miastem niemieckiem, ale głównem terytoryum, z którego są werbowani uczestnicy zebrania, jest Górny Szląsk, w którym znaczna część ludności posługuje się mową polską." Po długich targach Niemcy nareszcie zrobili „ustępstwo." Postanowili urządzić dla robotników polskich z Górnego Szląska nabożeństwo z polskiem kazaniem i „wspólnym śpiewem *niemiecko-polskim*. Prócz tego duchowni z okręgów przemysłowych *po za zebraniem* informować będą uczestników polskich w języku polskim. Należy jeszcze dodać, że także pozwolono Polakom na wiecu i po za jego obrębem myśleć po polsku. Naiwni cieszą się z tego „zwycięztwa," a Niemcom właśnie o to chodzi, gdyż chcą oni przyciągnąć robotników polskich, którzy mają uświetnić uroczystość pochodem.

Dziennik szląski nie dał się jednak wziąć na tę wędkę i oto co pisze: „Jest rzeczą pewną i wyjaśnioną, że komitet lokalny programu w niczem nie zmienił, że mów polskich na wiecu nie będzie, że nie będzie mowy o wychowaniu religijnem dziatwy polskiej i o innych, lud polski szczególnie obchodzących sprawach religijnych. Natomiast będą roztrząsane sprawy, dotyczące wyłącznie katolików niemieckich. Dlatego powtarzamy: Wiec w Nisie ma widoczny i specyalny charakter niemiecki, a katolików polskich zaproszono tylko z grzeczności i celem zewnętrznego uświetnienia wiecu. Dlatego lud polski w wiecu niskim udziału wziąć nie może, bo inaczej złożyłby dowód, że sam siebie szanować nie umie i że idzie tam, gdzie go z wielkiej łaski tylko przyjmują."

Bądź co bądź, nawoływanie to nie pozostanie bez skutku. *Dziennik szląski* i *Katolik* wychodzą pod jedną redakcyą, liczą 30,000 abonentów i zapewne pięć razy tyle czytelników. Pismo tak popularne musi tedy oddziaływać na masy, zwłaszcza że one święcie ufają kierownikowi opinii. Można więc dziś już powiedzieć, że udział Polaków w wiecu będzie bardzo skromny.

Pruska komisya kolonizacyjna, chcąc zachęcić chłopów niemieckich z Zachodu do osiedlania się na kresach wschodnich, posługuje się takimi środkami, jakich używali naganiacze, pędzący lud polski za ocean. Roztaczają oni wspaniałe tęcze żywota rajskiego na gruntach nabytych za pośrednictwem tak potężnego protektora. Naganiaczem takim stał się organ urzędowy komisyi, *Neues Bauernland*: „W ostatnich latach kolonizacya wewnętrzna — pisze on — ogromnie wzrosła. W pierwszych latach przybywało co rok zaledwie 200 do 300 rodzin. W roku zaś bieżącym liczba ich ma dosięgnąć 900—1,000. „Chłop emigrant i wiejski robotnik niemiecki nigdzie na całym świecie nie będzie miał lepiej, niż w komisyi kolonizacyjnej. Nigdzie tak łatwo nie potrafi się osiedlić i dojść do dobrobytu... Komisya nadspo-

działanie prędko rozkolonizowuje kupione majątki; a kto z kolonistów nie spieszy, temu nic się nie dostanie! Dlatego ci, którzy się chcą osiedlić na Wschodzie, nie powinni zbyt długo się namyślać. Nasi Niemcy z Zachodu, oglądając tu majątki kolonizacyjne, zapewne się dziwią, w jak tanich i korzystnych warunkach można tu byt utrwalić. W ostatnich czasach chłopi z Zachodu odbyli trzy wspólne podróże po majątkach kolonizacyjnych. Rezultatem tej wycieczki było natychmiastowe kupowanie parceli." Organ komisyi dyskretnie zamilczał o tych, którzy uciekają do dawnych siedzib. Nie chwali się także ze swoimi kłopotami i zawodami.

et.

Z NIEMIEC.

Berlin, 19 sierpnia.

Schultze z Delitzscha.

Przez ... lat łamali sobie pruscy ministrowie głowę nad tem: czy godzi się zezwolić na postawienie pomnika Schultzemu z Delitzscha, ojcu ruchu stowarzyszeniowego w Niemczech, a więc cywilusowi, który nigdy nie musztrował żołnierzy, ani należał do casino oficerskiego. Zwłoka ta przyniosła kłopot sternikom państwa, gdyż przed kilkunastu laty Schultze uchodził w literaturze i opinii publicznej za osobę komiczną, ośmieszoną przez głośnego trybuna ludowego, a zatem pomnik jego uszedłby powszechnej uwagi; dziś zaś, gdy z łaski ministrów przycupnął w szarym końcu Berlina pomnik Schultzego, odsłonięty przed tygodniem z wielką pompą, sława tego działacza społecznego zabłysła aureolą wielkiego męża, który położył zasługi nieśmiertelne nietylko dla swej ojczyzny, lecz dla całego świata. Nie są to słowa żadnego wieszcza, zaślepionego manią wielkości narodowej, lecz Francuza, prof. Dufourmantelle, który obok włoskiego, angielskiego i austryackiego delegata złożył wieniec u stóp pomnika i wygłosił w niemieckim języku mowę. Jeszcze jaskrawiej występuje rehabilitacya Schultzego na tle stosunków niemieckich. Wszystkie stronnictwa bez wyjątku, nawet te, które chcąc przerobić świat do gruntu, patrzyły z pogardą na krzątaninę barda oszczędności i roztropności drobnomieszczańskiej, odsłoniły z namaszczeniem głowy przed cieniem Schultzego i wzniosły okrzyki zachwytu na jego cześć. Ten chór chwalczy całego narodu jest znamiennym dla epoki historycznej, którą przeżywają obecnie Niemcy.

Kiedy Schultze wystąpił na arenę społeczną, rozpowszechniając swą myśl kas oszczędnościowych oraz stowarzyszeń spożywczych i wytwórczych, opartych na zasadach wspólnej poręki, wtedy Niemcy wrzały bojem opozycyi przeciwko Bismarkowi. W powietrzu unosiły się jeszcze odgłosy zatargu z prawami sejmowemi, w którym sam Schultze odegrał wybitną rolę, poczem nad głowami katolików rozszalała burza ustaw majowych, a zaledwie przestała huczeć, zanosiło się znowu na huragan ustawodawstwa wyjątkowego. Ścigano i wypędzano, więziono i torturowano bez wyjątku, jak gdyby ręka nowego Atyli zaciężyła nad ludzkością. W tych czasach rozwścieczonych namiętności i fanatycznej wojny domowej doprawdy nie mogły imponować ani oszczędność, ani dywidendy stowarzyszeń spożywczych, ani domy zleceń, ani wspólne elewatory itd. ... ludziom było po tych „fatałaszkach," kiedy wokoło działy się krzywdy wołające o pomstę do nieba. Schultze w dodatku bardzo niefortunnie wyraził teoryę swego programu ekonomicznego. Zamiast zakreślić ciasne koło działalności swych stowarzyszeń, obiecywał sobie po swych reformach co najmniej zbawienie ludzkości od dręczących ją utrapień. Posypały się też na niego szyderstwa z ust natchnionego bohatera i bożyszcza ludu. Zdawało się, że jadowite strzały okryją na wieki śmiesznością zacnego filantropa, któremu zbywało na rozmachu orła i majestacie lwa.

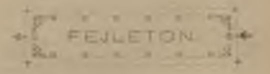
Czasy zmieniły się. Bismarck ustąpił, a wraz z tem odetchnęły Niemcy od zmory barbarzyńskiej brutalności. Germanowie zaczęli zalewać świat towarami i zatknęli za pas pierwszorzędne państwa wywozowe; zakwitnął przemysł, a w powietrzu rozległo się „enrichissez vous." Wielkie projekty prześladowcze i zamachy na prawa obywatelskie, podjęte przez epigonów Bismarcka, spełzały na niczem, a ministrom pruskim pozostała tylko polityka kłucia szpilkami i dokuczania szykanami. Wzięto tem gorliwiej w obroty żywioły obce, nie germańskie — *vide* hakatyzm? — i w ten sposób umysły rozgorączkowane uspokoiły się, a serca tchnące zawziętością i goryczą zaczęły bić łagodniej. Wszystkie stronnictwa polityczne zaofiarowały ludowi swe usługi opiekuńcze i w ten sposób wzburzone fale wód opadły. Narodowi liberałowie pierwsi wyruszyli w świat z gałązką oliwną. Niemasz ani jednej reformy społecznej, którejby nie udzielili swego błogosławieństwa i poklasku. Oni, co przy lada sposobności spuszczali z łańcucha psa nienawiści, stali się apostołami sprawiedliwości społecznej. Centrum, stary wytrawny linoskok, poszło w ślady narodowych liberałów. Opozycya straciła swe kły i pazury i schowała miecz do pochwy. Dość zaznaczyć fakt niesłychany w kronice politycznej Niemiec, iż przed trzema tygodniami podczas wyborów do sejmu bawarskiego, centrum szło do wyborów w braterskim uścisku skrajnej lewicy. W takich właśnie czasach zgody politycznej i wielkich reform ekonomicznych gwiazda Schultze-Delitzscha zaświeciła nowem, olśniewającem światłem. Przyczyniły się do tego i zadziwiające rezultaty działalności nieboszczyka.

Jeśli wyłączymy rządowe stowarzyszenia ubezpieczenia robotników, a nadto związki fachowe najmitów, to otrzymamy w sumie 17 tysięcy — wyraźnie siedemnaście tysięcy — stowarzyszeń wzorowanych na programie Schultze-Delitzscha i opartych na podstawach samopomocy. Cyfra ta nie wymaga komentarzy. Mamy w niej 11 tys. kredytowych stowarzyszeń, 82 przemysłowych dla wspólnego zakupu surowych materyałów i 1,200 rolnych tego samego rodzaju, 67 przemysłowych i 106 rolnych dla korzystania ze wspólnych magazynów, 193 przemysłowych i 2,017 rolnych współdzielczych (kooperacyjnych), 1,400 spożywczych i 244 budowlanych; 417 stowarzyszeń spożywczych należy do związku założonego przez samego Schultze-Delitzscha: reprezentują one przeszło milion głów ludzkich i obracają kapitałem 20 milionowym. Czysty zysk wynosi około 7 mil. marek. Dywidendy tych stowarzyszeń rosną z roku na rok.

Działalność stowarzyszeń spożywczych przyjmuje rozmiary tak potężne, iż przedstawiciele handlu detalicznego żądają skrępowania rywali więzami prawnymi; 1,047 stowarzyszeń kredytowych typu Schultze-Delitzscha liczy pół miliona członków i rozporządza funduszem, który wkrótce dojdzie do miliarda. Wszystkie kasy oszczędnościowe razem wzięte reprezentują kapitał 5-miliardowy. Ponieważ tylko pewna część tego funduszu musi być do rozporządzenia depozytorów, wycofujących swe wkłady, przeto kasy te mogłyby bez wszelkiego ryzyka użyć część swych funduszów na cele wytwórcze. W r. 1895 ekonomista R. May, który z polecenia wielkiej firmy hamburskiej ogłasza wzorowe doroczne sprawozdania z postępów życia gospodarczego na całym świecie, wystąpił z projektem, aby wszystkie stowarzyszenia ekonomiczne Niemiec, które dziś już stanowią państwo w państwie, połączyły się w jeden organizm wytwórczy. Stowarzyszenia kredytowe dostarczyłyby kapitału, spółdzielcze zajęłyby się fabrykacyą, a spożywcze zbytem towarów. Pomysłowi temu trudno odmówić racyi i polotu, a prawdopodobnie przyjdzie wcześniej czy później czas na jego urzeczywistnienie. Już dziś istnieją zarodki tej formy przyszłości. Wobec tego, iż stowarzyszenia spożywcze mają klientelę zapewnioną w szerokich rozmiarach, mogłyby towary wytwarzane przez nie liczyć na niewątpliwy zbyt. W razie gdyby ta próba udała się, stowarzyszenia mogłyby z czasem zagarnąć cały handel, usunąć z tej dziedziny pośredników wymiany i objąć produkcyę odnośnych wytworów. W r. 1890 wypracował ten uniwersalny nieco plan utopista, Ernest Busch, którego praca z czasem nabrała silnego rozgłosu i posłużyła pod wpływem odświeżonych reminiscencyj proudhonowskich za bodziec dla tworzenia stowarzyszeń spożywczych z podkładem ideologicznym. Autor niestety zapomniał, iż dzisiejsze społeczeństwa utrzymują się w przeważnej części z wymiany swych produktów za granicą; klientela więc tutejszych fabrykantów mieszka po za obrębem Niemiec. Stowarzyszenia spożywcze mogą zatem zaszkodzić handlowi, lecz nie dotkną silnie samej dziedziny industryalnej.

Chciałbym tu jeszcze zwrócić uwagę na stowarzyszenia dwu rodzajów: popierwsze, budowlane. Umożliwiają one swym członkom bądź nabycie własnego placu i domku w okolicach tańszych, np. na przedmieściach, bądź też mieszkanie w jednym z wielkich domów stowarzyszeniowych w mieście. Domy te są urządzane z całym komfortem nowoczesnym; są tam ogrody, skwery dla dziatwy, kąpiele, biblioteki, sale do tańca, kluby, wspólna restauracya itp. Słowem, na tle wspólnego władania domem rozwija się życie stowarzyszeniowe na wielką skalę. Również budzą zainteresowanie stowarzyszenia, stanowiące gminę o wspólnych przekonaniach społecznych. Jako przykład przytoczę tu gminę „Eden" w pobliżu Berlina. Mieszka tu 85 rodzin, które wspólnie czynią zakupy i dokonywają sprzedaży za pomocą biura swego stowarzyszenia. Są to wegetaryanie, którzy dążą do prostoty życia i zadzierzgnięcia ściślejszych węzłów z naturą i utrzymują się z ogrodnictwa. W ustroniu tem, jak w klasztorze, szukają schronienia rozmaite znużone dusze, jak np. sterani życiem artyści lub ludzie niemogący żyć się ze społeczeństwem i przyzwyczaić do jego trybu, oraz osobniki skromne w wymaganiach ciała i ducha.

H. F.



PAMIĘTNIK.

Ręce i maszyny.

Ze wszystkich stron kraju nadchodzą do pism skargi na brak rąk roboczych do żniw i sianokosów. W niektórych okolicach niedostatek ten nie pozwolił ziemianom dokonać zbiorów i odbił się w gospodarstwach ogromnemi stratami. Z artykułów tej sprawie poświęconych czytelnicy nasi znają przyczynę owego dość powszechnego zjawiska, analizować go więc tu nie będziemy. Chcemy dziś tylko zaznaczyć jedno z jego następstw. Oto w składach maszyn rolni-

czych otworzył się tak nadzwyczajny zbyt pewnych narzędzi, jakiego dotychczas nie zauważono w żadnym roku. Zwłaszcza zapotrzebowanie żniwiarek było do tego stopnia wielkie, że chwilowo wyczerpany został cały ich zapas w Warszawie. Ponieważ maszyny polowe wymagają odpowiedniej uprawy i nie na każdym gruncie zastosować się dadzą, więc początkowo w wielu miejscach nie mogły działać z dobrym skutkiem; weszły one jednak jako pierwiastek postępu do gospodarstw folwarcznych i niewątpliwie coraz szerzej zastępować będą ubytek rąk. Mamy tedy przed sobą szczególny widok: zmiana w środkach produkcyi rolnej, opierająca się najrozumniejszym wywodom teoretycznym, nastąpiła dzięki ciemnemu ludowi, który odmówił swej pracy najemnej przy robotach polnych. Nietylko osobom interesowanym, ale obserwatorom życia społecznego zwracamy uwagę na ten przewrót, który bardziej powinien nas obchodzić, niż kanał niemiecki.

Nieoględność

Zeszłej niadzieli na szosie lubelsko-brzeskiej odbył się wyścig 100-wiorstowy cyklistów, w którym jeden z zapaśników upadłszy z roweru, poranił sobie nogi, nadwyrężył głowę i zmiażdżył twarz. Zanim uwiadomiono o tem stacyę, zanim przybył znaleziony *przypadkowo* lekarz, upłynęło sporo czasu, w którym nieszczęśliwy leżał bez żadnego ratunku. Rzecz doprawdy dziwna, Towarzystwo cyklistów posiada środki na opłacanie zagranicznych zawodowców, na złote i srebrne żetony, na huczne biesiady, a żałuje kilkunastu lub kilkudziesięciu rubli dla opłacenie lekarza, któryby znajdował się w bliskości jadących. Na zabawach ludowych, które odbywają się spokojnie, czuwa Pogotowie ratunkowe; a na wyścigach cyklistów, gdzie gromada ludzi pędzi z szalonem ryzykiem życia, niema lekarza. Wszakże na ostatnim turnieju był nawet samochód, czemużby na takim powoziku nie miał jechać za ścigającymi się lekarz, któryby pozostawał w tyle, ale w każdym razie przybywałby do leżącego na szosie rozbitka bardzo szybki i co ważniejsza, zabrałby go natychmiast z sobą. Już jeżeli te karkołomne popisy, wynalezione dla zarobku profesyonistów i zysku fabryk, które ich opłacają, mają koniecznie istnieć, niechże przynajmniej możliwie zabezpieczają życie nieszczęśliwych, którzy w nich karki kręcą.

Katastrofa i jej świadkowie.

Kiedy przed kilku laty z przewróconej łodzi Towarzystwa wioślarskiego kilku młodych ludzi wpadło do Wisły, a jeden z nich, czy paru utonęło, zrobiliśmy uwagę, że stowarzyszenie to powinno wymagać od swoich członków umiejętności pływania. Wówczas bowiem okazało się, że żaden z nich pływać nie umiał, pomimo że przecie uprawiali sport wodny. Obecnie zdarzył się podobny wypadek pod Płockiem: lekką łódź warszawską mocne fale przewróciły, jej załoga zaledwie uratowała się, a jeden z jej członków, Jan Bliziński, utonął. Nie ulega żadnej wątpliwości, że ten nieszczęśliwy był słabym pływakiem. Gdyby nie to, nawet na wzburzonych falach Wisły mógł był on utrzymać się i dotrzeć do brzegu.

Tu należy zapisać fakt gorszący a charakterystyczny dla naszego t. z. sportu wodnego: w odległości 200 kroków od katastrofy znajdowała się łódź Towarzystwa wioślarskiego płockiego, płynąca na spotkanie gości, a nadto przystań statków. I nikt nie pospieszył z pomocą tonącym „z powodu bałwanów“ (*Kur. Warsz.*). Rzeczywiście flegmatyczna nasza Wisła, rozkołysana wichurą, czasem urządza małym czółnom gwałtowną huśtawkę, ale nigdy nie dochodzi do takiej grozy, ażeby odbierała śmiałym ludziom odwagę spieszenia na ratunek tonącym. Jeżeli załoga łodzi płockiej zlękła się skromnej rzeki, cóżby zrobiła na morzu wobec uszkodzonego przez burzę okrętu? Tam już chyba raczej umarłaby ze strachu, niż podążyła na ratunek rozbitkom. Zresztą pojmujemy nieszczęście i ważenie niebezpieczeństwa w spokoju, ale nie przy widoku siodmiu ginących ludzi. To już było za dużo dbałości o siebie.



GASZONE ŚWIATŁO *)

✦

W każdem społeczeństwie, nawet najbardziej oświeconem, znajdują się jednostki, które na podobieństwo nocnych stworzeń, nawykłych do ciemności, nie znoszą światła i najmniejszy jego przebłysk witają piskiem i krzykiem, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, jakiem zagraża światu tlejąca iskierka. Są to istoty, których mózgi, zakrzepłe w przesądach i uprzedzeniach, zatraciły, jeżeli wogóle miały ją kiedy, zdolność myślenia i nie mogąc przystosować się do nowych zagadnień czasu, upatrują w każdym nowym pomyśle, w każdym kierunku badania, którego nie rozważają, groźne zarzewie, mogące obrócić w perzynę cały porządek świata. Zwykłem ich hasłem bywa obraza religii i zasad moralności, jakkolwiek pod tem hasłem kryją się nieraz pobudki mniej bezinteresowne, jak o tem świadczą dobierane przez nich w celach agitacyjnych środki i środeczki, któremiby nie wzgardził żaden intrygant, którychby się nie powstydziła żadna dewotka, roznosząca najpotworniejsze plotki — w imię miłości bliźniego.

Jeżeli gdzie, to w naszej błogosławionej Galicyi, zostającej na łasce i niełasce stańczyków, którzy mają na swe usługi kler i biurokracyę, aż się roi od tego rodzaju indywiduów. Pomijając ludzi dobrej wiary ale ciasnej głowy, niemogących pojąć, że innem jest zadanie religii, a innem wiedzy, należą do nich przeważnie jednostki wykolejone, zawiedzione w swych rachubach i szukające powetowania swych niepowodzeń na drodze protekcyi, albo też prości bandlarze sumienia, zaprzedający je temu, kto da najwięcej. Występują oni najczęściej z zamkniętą przyłbicą i natarłszy z nienacka, umieją w czas się cofnąć, gdy spostrzegą, że pora do zamachu źle była wybraną.

Przykład podobnej napaści—chybionej—mieliśmy niedawno we Lwowie. Pismo antysemickie, *Obrona*, zamieściło artykuł nieznanego autora pod nagłówkiem: „Darwinizm na uniwersytecie lwowskim.“ Obrawszy za przedmiot swych pocisków prof. Nussbauma, zarzuca mu, że on, jako Żyd, z umysłu krzewi zasady darwinizmu, wiedząc dobrze, że są one przeciwne dogmatom wiary chrześciańskiej — i przez to samo osłabia w młodzieży uczucie moralności, którego jedynem źródłem jest religia. Ze swem poparciem w tym kierunku pospieszył *Ruch katolicki*, zwracając uwagę, że jest na uniwersytecie lwowskim jeszcze ktoś drugi, co od dawniejszego już czasu prowadzi swe wykłady w duchu darwinowskim. Jest nim mianowicie prof. Dybowski, który bez żadnej ogródki utrzymuje, że rodzaj ludzki powstał tym samym porządkiem, co i każdy gatunek zwierzęcy, tj. drogą naturalnego rozwoju.

Ta napaść na profesorów wywołała ze strony młodzieży uniwersyteckiej zbiorową manifestacyę, w której zaznaczyła swą cześć i wdzięczność dla swych przewodników na polu wiedzy.

W opisywanie przebiegu tej sprawy wdawać się nie myślę. Podnoszę tylko jeden jej szczegół, który zasługuje na to, aby się nad nim bliżej zastanowiono. Jest nim stanowisko, jakie wobec darwinizmu zajął *Ruch katolicki*, wydawany przez tutejszych jezuitów. Oświadcza on, że teorya ewolucyjna nie byłaby przeciwną zasadom religii, gdyby była dowiedzioną. Oświadczenie to nastręcza dwa pytania: naprzód, jakiego rodzaju mają być dowody teoryi ewolucyjnej, a następnie, czy w razie jej udowodnienia zostałaby ona uznaną przez jezuitów w całości, czy tylko w pewnym zakresie, z zastrzeżeniami, któreby całą jej doniosłość osłabiły? Co się tyczy drugiego pytania, to *Ruch katolicki* dostarcza nam na nie odpowiedzi wyraźnej, niepozostawiającej najmniejszej wątpliwości co do jej znaczenia. Utrzymuje on stanowczo, że człowiek inny ma początek, niż wszystkie twory ziemskie, że między nim a zwierzęciem nie masz pod względem duchowym nic wspólnego, czego dowodem jest *rozumność i wolna wola* — przymioty, które są właściwe samemu tylko człowiekowi, a zgoła obce zwierzęciu.

Tego rodzaju dowody mogą wystarczyć *Ruchowi katolickiemu* i jego współpracownikowi, Błockiemu; nauka jednakże zadowolić się niemi nie może. Psychologia nas uczy, że ani „rozumność,“ ani „wolna wola“ nie są samoistnemi władzami duszy, ale sprawami psychicznemi, składającemi się z licznych czynników, które i w duszy zwierzęcej dają się odnaleźć. Składowymi czynnikami *rozumności* są spostrzeżenia i wyobrażenia, których zwierzętom odmówić niepodobna, jak również niepodobna im odmówić zdolności sądzenia i wnioskowania chociażby w formie jak najprostszej. Co się zaś tyczy wolnej woli, to nauka rozumie przez nią względną wolność działania, polegającą na tem, że człowiek może wybierać między danemi pobudkami, ale w wyborze swym musi się opierać na wrodzonych lub wytworzonych przez wychowanie usposobieniach. Wolna wola w tem rozumieniu, w jakiem ją przyjmuje *Ruch katolicki*, jest fikcyą. Nie jest ona jakimś podarkiem dla człowieka, ale osobistym jego dorobkiem. Człowiek o tyle tylko jest wolnym w swem działaniu, o ile sam wytworzył w swej duszy moc panowania nad sobą, o ile umie chwilowym pobudkom przeciwstawić trwało, jakiemi są uczucia etyczne. Otóż jakolwiek zwierzętom nie możemy przyznawać wolności działania w tym stopniu, w jakim ją posiadają ludzie, odmawiać im jej całkowicie niepodobna. I one, mając różne pobudki, wybierają tę, która najbardziej odpowiada ich usposobieniom bądź naturalnym, bądź wytworzonym przez tresurę. Różnica więc między zwierzęciem a człowiekiem, pomimo całego jej ogromu, którego nikt zaprzeczać nie myśli, jest tylko względną, nie zaś bezwzględną — i bynajmniej nie sprzeciwia się wspólnemu ich początkowi. Kto więc gotów jest przyjąć teoryę rozwojową w razie, gdy będzie dowiedzioną, ten musi ją przyjąć w całości bez żadnych ograniczeń. Wspólność natury ludzkiej ze zwierzęcą tak pod względem duchowym, jak i cielesnym, jest faktem naukowo stwierdzonym i nikt już dzisiaj o tem powątpiewać nie może.

Pozostaje więc pytanie: czy mamy prawo uważać teoryę rozwojową za dowiedzioną, a jeśli nie, to jakie mają być dowody, któreby zdołały wykazać jej prawdziwość?

Gdyby ktoś zażądał dostarczenia sobie dowodów prawdziwości teoryi Kopernika, niezawodnie że odesłanoby go do astronomii, w którejby mógł się sam przekonać, że fakty, wykazujące zasadność owej teoryi, nie mogą być inaczej rozumiane, tylko

*) Jest to ostatni, przed kilku tygodniami przysłany nam artykuł świeżo zmarłego autora. *Red.*

tak, jak je nasz astronom pojął i wytłomaczył. Każda teorya w sobie samej zawiera dowody swej prawdziwości. Szukać ich po za nią, jest to nie pojmować jej istoty. Stanowi ona tylko wyjaśnienie faktów, ich powiązanie w pewną całość na podstawie zasady, która w nich samych najwyraźniej uwidocznia się. Jako wyraz współczesnej wiedzy, wartość jej naukowa zależy od tego, czy zgadza się ona w swych podstawach z ustalonemi zasadami wiedzy, czy czyni zadość warunkom naszego poznania, czy nareszcie w swych wyjaśnieniach nie ucieka się do urojeń, niedających się dowieść. Jeżeli teorya jest koniecznym wnioskiem indukcyjnym, uogólnieniem faktów dokładnie zbadanych, jeżeli coraz to nowe fakty z biegiem czasu poznawane nietylko że jej nie przeczą, lecz ją stwierdzają, jeżeli przytem posługuje się w swych wyjaśnieniach czynnikami rzeczywistymi: spełnia ona jak najściślej swe zadanie, chociażby na razie nie umiała dać odpowiedzi na niektóre pytania, do jej zakresu należące.

Wszystkim tym wymaganiom czyni zadość teorya rozwojowa. W jej podstawie leży taki ogrom faktów, jakim żadna inna poszczycić się nie może i jak dotąd badania biologiczne nie natrafiły ani na jeden fakt, któryby z jej głównem założeniem stawał w sprzeczności.

Zadaniem jej jest wytłomaczenie w drodze naturalnej powstawania gatunków w świecie organicznym i wykazanie ich pokrewieństwa. Opiera się ona w swych wywodach na faktach, jakich jej dostarczają: zoologia, antropologia, paleontologia, anatomia porównawcza, embryologia, fizyologia, a do pewnego stopnia i psychologia porównawcza, które wykazują z jednej strony wspólność budowy organizmów i następcze pojawianie się coraz to wyższych typów, z drugiej — tożsamość spraw życiowych, polegających na asymilacyi, a jak u zwierząt — i tożsamość spraw psychicznych. W swych wyjaśnieniach posługuje się ona czynnikami rzeczywistymi, jakimi są: dobór naturalny, przystosowywanie się organizmów do otoczenia i dziedziczność, których najzaciętszy przeciwnik teoryi rozwojowej zaprzeczyć nie może, gdyż są faktami doświadczenia codziennego. Że w przemianie gatunków czynniki te odgrywają główną rolę, wykazuje to dowodnie hodowla zwierząt i roślin — polegająca przeważnie na doborze sztucznym i na wytwarzaniu sztucznych warunków dla ich odżywiania.

W szczegółowych swych wyjaśnieniach chybia ona pod wielu względami, bądź dlatego, że odnośne fakty nie są jeszcze należycie poznane, bądź dlatego, że nie wszystkie jeszcze czynniki, biorące udział w sprawie rozwojowej, zostały wykryte. Nie osłabia to jednakże jej znaczenia. Jako konieczny wynik współczesnej wiedzy, musi ona być uznaną w swem założeniu za prawdziwą. Ma zresztą za sobą nietylko dowody faktyczne, ale i racyonalne. Dostarcza ich naczelna zasada naszej wiedzy współczesnej: niezniszczalności materyi i energii. Skoro ilość materyi i energii pozostaje zawsze stała i równa sobie tak, że nic w niej ani ubyć, ani też coś do niej przybyć nie może, w takim razie wszelkie formy bytu, których nieskończona rozmaitość stanowi świat nasz widomy, mogły powstać tylko drogą przemiany.

Władysław Kozłowski.

(Koniec).

Jan Bloch: *Wnioski ogólne z dzieła „Przyszła wojna.“* Warszawa, 1899, str. XXXI i 365.

Dotychczasowa publicystyczna i naukowa działalność Jana Blocha szła równolegle do szerokich zagadnień praktycznych, jakie w ostatnich czasach życie stawiało do rozwiązania państwu. Wszystkie jego poprzednio wydane dzieła odpowiadały jakiejś ogólnej potrzebie, jakiemuś ogólnemu dążeniu do reform i przeobrażeń ekonomicznych i społecznych, przez rząd podjętych lub zamierzonych. Do takich, w okresie poprzedzającym ostatnią wojnę turecką, należały rozmaite opracowania specyalno-kolejowe, z których się następnie złożyło pięciotomowe dzieło: „Wpływ kolei żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi“ (Petersburg, 1878). Taki również charakter miała czterotomowa praca, przygotowana w okresie rozmaitych prób naprawy skarbowości państwowej, p. t. „Finanse Rosyi w XIX stuleciu“ (Petersburg, 1882). Kiedy w dalszym ciągu wypadków współzawodnictwo zboża amerykańskiego na targowiskach świata podkopało dobrobyt stanów ziemiańskich w Europie wschodniej i pomoc rządu zdawała się być niezbędną, zwłaszcza wobec niezażegnanych jeszcze następstw doraźnej zmiany agrarnej z lat 1861—64, wówczas ukazały się referaty tej osnowy, co: „Kredyt melioracyjny i stan gospodarstwa wiejskiego w Rosyi i innych państwach“ (Petersburg, 1890), „Odłużenie własności ziemskiej w Królestwie Polskiem“ (Petersburg, 1894) itp. Nie inną jest też i geneza sześciotomowego dzieła p. t. „Przyszła wojna pod względem technicznym, politycznym i ekonomicznym,“ z którego wnioski ogólne obecnie ogłoszone zostały.

Początkami swymi sięga ono lat 1882—86, kiedy po zawarciu przymierza środkowo-europejskiego mówić zaczęto o możliwości wojny zaczepnej ze strony Niemiec i Austryi — z Rosyą. W kombinacyach tych Królestwo Polskie stawało się główną, a przynajmniej jedną z głównych widowni starć zbrojnych. Warszawa, po wzniesieniu dokoła niej nowego systemu fortów, wiążących się strategicznie z siecią twierdz takich, jak Nowogieorgiewsk, Zegrz, Iwangród, odegraćby w takim razie mogła rolę drugiego Paryża z roku 1870—71. Należało zawczasu pomyśleć o oszczędzeniu jej ewentualnej kapitulacyi z głodu. W celu zbadania trudności, w jakich ujrzałaby się Warszawa na wypadek wojny, ustanowiono w owym czasie komisyę ze specyalistów wojskowych, do której zaproszono również kilku mieszkańców miejscowych — w ich liczbie i autora dzieła. „Biorąc udział w kilku posiedzeniach tej komisyi—pisze Bloch w przedmowie—przekonaliśmy się, że przystąpiła ona do rzeczy z bardzo ograniczonym zapasem wiadomości przygotowawczych. Jako punkt wyjścia komisya stawiała przypuszczenie, że z ówczesnej 600-tysięcznej ludności Warszawy, w mieście, w razie oblężenia, powinno pozostać tylko 50 tysięcy, reszta zaś musi opuścić miasto. Dokąd udać się miała reszta i gdzie znaleźć dla 550 tysięcy ludzi te środki do życia, jakie mieli w Warszawie—kwestye te pozostały nierozstrzygnięte. Przykładu, jakiego dostarczyło oblężenie Paryża, wcale nie brano w rachubę...“

Wówczas to autor wystosował memoryał, szczegółowo wyłuszczający potrzeby Warszawy w razie oblężenia, tudzież wskazujący środki zapobieżenia, a przynajmniej zmniejszenia klęsk, jakieby spadły na miasto z powodu jego odcięcia od świata i w związku ze zmianami, wywołanemi przez wojnę w warunkach ekonomicznych całego państwa. „Większą część tych środków — dodaje Bloch — uznano za pożyteczne, lecz z różnych względów za niemożliwe do wykonania.“ Ponieważ zaś z rozmów, jakie następnie autor przeprowadził z kilku dostojnikami wyższej administracyi wojskowej i cywilnej, pokazało się, że samo zajmowanie się kwestyami tego rodzaju uchodzić mogło za coś zdrożnego i szkodliwego; ponieważ nie zbywało nawet na zdaniach, „iż należy podtrzymywać ducha wojska, unikając wszystkiego, co mogłoby przedstawić wojnę przyszłą w barwach zbyt ponurych“ — autor więc nie oglądając się na inicyatywę osób fachowo-kompetentnych, przedsięwziął dochodzenie na własną rękę, zbierając w ciągu lat ośmiu wszelkie — w warunkach i położeniu jego możliwe do osiągnięcia wiadomości o obecnym stanie gotowości bojowej państw europejskich, przeważnie pierwszorzędnych i lądowych— Rosyi i Francyi z jednej strony, Niemiec, Austryi i Włoch z drugiej. Pierwsze jego na tem polu poszukiwania drukowane były w latach 1892 i 1893 w *Bibliotece Warszawskiej*, zaś w przekładzie na język rosyjski przeważnie w czasopiśmie *Russkij Wiestnik*. Oddzielne części ogłaszane też były w zagranicznych czasopismach wojskowych, w *Jahrbücher für deutsche Armee und Marine*, w *Revue des Cercles militaires* itd.

Trud podjęty — niezaprzeczenie olbrzymi: koszta włożone — fortuny autora nie podkopią może. Co do rezultatów otrzymanych, nie są one proporcyonalne, a przynajmniej nie wszędzie, nie we wszystkich częściach są proporcyonalne do usiłowań zużytych, niekiedy zaś nawet — odwrotnie proporcyonalne. Sam autor nie żywi w sobie zapewne zbyt wygórowanych widoków co do wartości bieżącej, zamiennej materyałów zgromadzonych w pierwszych czterech tomach dzieła, jakkolwiek wie stokroć lepiej od nas wszystkich, ile dla ich zdobycia wypadło stracić czasu, zachodów, starań i próśb. Materyał ten ilustruje głównie zawodową, techniczną stronę *przyszłej* wojny — niestety, właśnie w tem szkopuł cały, że już nie przyszłej. Co wczoraj było prawdą, dziś stało się zaledwie prawdopodobieństwem, jutro stać się już może tylko przypuszczeniem chybionem. „Każdy rok — powiada autor — przynosi nowe, gruntowne udoskonalenia, działanie armat wzrasta, karabiny się ulepszają, wojska ćwiczą się nieustannie, zaopatrzenie ich w środki pomocnicze, zupełnie dawniej nieznane, staje się coraz obfitszem, zwiększa się ilość i szybkość okrętów, które przebywać mogą ogromne przestrzenie bez odnawiania zapasów węgla“ — słowem, sposoby ułatwionego i z każdym dniem donioślejszego wzajemnego niszczenia się i tępienia tak dalece podnieciły i pochłonęły wynalazczą zdolność ludzką, iż nikt ręczyć nie może, czy opłacona miliardami onegdajsza transformacya uzbrojenia nie będzie pojutrze zakwalifikowaną do muzeum starożytności, na równi ze skałkówkami Piotra Wielkiego i z działami nabijanemi z przodu w dniach bitew pod Jeną lub Możajskiem. Wobec tej niepewności przesłanek, dotyczących mechanizmu wojny, z roku na rok odraczanej, psychologia jej teoretyczna pogrąża się w chmury jakichś szarad zawiłych, w których domysł poważny walczy o pierwszeństwo z ciekawością zabawki. Zapewne, w całości i nietknięte pozostają w takich razach pytania: „czy dalsze żądania od parlamentów nowych sum na uzbrojenie nie wywołają ciężkich zaburzeń i czy wielkie, nieobliczone komplikacye strategiczne i taktyczne, spowodowane wprowadzeniem do rachunku mas milionowych, zalewających się wzajemnie potokami lawy wulkanicznej, nie doprowadzą wreszcie do zupełnej niemożliwości prowadzenia wojny, przynajmniej w krajach, gdzie wysoki poziom kultury podniósł znacznie wartość życia każdego obywatela?“ Ale pytania te stawiano już sobie znacznie dawniej, w epoce jeszcze, kiedy rycerstwo średniowieczne po raz pierwszy poczuło zapach prochu... A jak śmierć Gedymina na wałach Wellony z ręki bombardnika niemieckiego nie powstrzymała Olgierda i Olgierdowiczów od dalszych wypraw na Krzyżaków, tak też wprowadzenie odtylcówek do boju pod Sadową nie odstraszyło Napoleona III od pogromu sedańskiego. Powtarza się to regularnie od

daty sławnych zapasów Krakusa ze smokiem wawelskim — i niema żadnej dobrej racyi przypuszczać, żeby się nie powtarzało w przyszłości.

W ogólności — trudno wojnę pobić wojną, trudno kuszę przekonać strzelbą, strzelbę armatą, armatę miną, minę kontrminą, a kontrminę — niezmierną uciążliwością podatków za nią. Dla tego też czujemy niewysławioną ulgę na sercu, gdy autor przeprowadziwszy nas przez labirynt najrozmaitszych arsenałów lądowych i morskich, obliczywszy możliwe straty w ludziach i pieniądzach podczas przyszłej wojny, oceniwszy doniosłość wpływu dzisiejszych karabinów i armat na charakter ran, rozejrzawszy się w urządzeniach gospodarczych, mających na widoku zaopatrywanie armii w żywność i amunicyę, rozstrząsnąwszy istniejące i wymaginowane plany działań wojennych, zaczepnych, odpornych, frontowych, podjazdowych i fortecznych — przystępuje z kolei, w tomie piątym i szóstym, do określenia politycznych, społecznych i moralnych przyczyn wojny, oraz do streszczenia argumentów za i przeciw możności pokojowego rozstrzygania sporów międzypaństwowych i międzynarodowych. Autor wierzy — szczerze, głęboko wierzy w możność podobnego rozstrzygania, a wiara ta udziela się słowom i poniekąd za ich pośrednictwem — czytelnikowi. Od str. 217 „Wniosków ogólnych“ do samego już niemal ich końca zostajemy pod urokiem silnie zaakcentowanego jego przekonania.

Organem pokojowego owego rozstrzygania zagadnień i zatargów pomiędzy rządami a państwami i ludami byłby stały trybunał międzynarodowy, złożony z pełnomocników mocarstw, a wyrokujący we wszelkich zajściach zbiorowych i publicznych z równą kompetencyą, jak zwyczajne nasze sądy wyrokują w zajściach pojedynczych i prywatnych. Dzieło swe wygotował Bloch przed rozpoczęciem narad zamkniętej niedawno konferencyi w Hadze i dlatego nie dziw, że chcąc obrazowo przedstawić wstępne kroki i zachody ku stworzeniu takiego trybunału, zniewolonym był posłużyć się hypotezą kongresu zwołanego w następstwie mniej lub więcej szczęśliwego zbiegu okoliczności. „Przypuśćmy — powiada — że wskutek jakiegoś zjawiska kosmicznego następuje w Europie szereg lat naccechowanych niezwykle obfitymi opadami atmosferycznymi. Wskutek obfitych deszczów klęska nieurodzaju spada kilka lat z rzędu na Europę, rzeki występują kilkakrotnie ze swych łożysk i wylewy szerzą ogromne spustoszenie. Powtarzające się nieurodzaje powodują klęskę ogólno - narodową. W ogromnych rozmiarach powiększa się zapotrzebowanie zboża zamorskiego, które znacznie podnosi się w cenie. Ludność rolna w Europie zaledwie jest w stanie wyżywić się, jednocześnie zaś ogromne sumy płyną za ocean w zamian za żywność dla ludności miejskiej. Pod działaniem obu tych przyczyn popyt na produkty fabryczne silnie spada w Europie: jedne fabryki zmniejszają liczbę godzin pracy, inne zawieszają zupełnie robotę. Równocześnie, pod wpływem powszechnej biedy wzrasta podaż rąk roboczych i płace zarobkowe obniżają się, wskutek czego znacznej części ludności grozi zupełna nędza... Tymczasem, w jednej ze stolic europejskich zbiera się, dzięki jakiejś okoliczności kilku panujących książąt i ministrów różnych państw...“ Owoż — naturalnie — gadu, gadu, zawiązuje się pomiędzy tymi ministrami rozmowa o klęsce, z klęski przeskakuje ona na ewentualność zaburzeń, z zaburzeń na wojnę — i kongres przeciw wojnie postanowiony. Zbiera się, obraduje, stanowi uchwały. Autor podaje nader okolicznościowo zredagowane sprawozdanie z dyskusyi przeprowadzonej w owym kongresie *ad hoc* i *ad usum* swojej tezy. Francuzi bronią wojny, inne mocarstwa ją atakują — formują się zdania pośrednie, rozjemcze, aż w końcu staje zgoda — zgoda na zgodę!...

K. Włostowski.

LITERATURA I SZTUKA.

KRYTYCY I POECI.

„Preludye! Zbiór szkiców“ *). Preludye — do czego?

„Kto wie lepiej od ciebie, kochany przyjacielu — pisze autor, krytyk-impresyonista niemiecki, Fr. Servaes, w liście otwartym do Hermana Bahra, zastępującym przedmowę — że znowu żyjemy pięknem złudzeniem, jakobyśmy szli na spotkanie nowej a wielkiej epoki artyzmu? Czyśmy, w pełni upojenia młodzieńczego, nie mniemali już, że znajdujemy się w tym nowym okresie?

Dzisiaj staliśmy się skromniejszymi tak, skromniejszymi i zarazem bardziej wymagającymi. W arcydziełach naszego czasu widzimy tylko przygrywkę, jej dźwięki, zamiast zaspokojenia naszej żądzy, którą one jedynie czynią jeszcze namiętniejszą i chciwszą! Jesteśmy wciąż tylko przy początku! Ale warto przypatrywać się przyszłości w jej zarodku, raczej odczuwać ją jako mającące widziadło, niż mieć przed wzrokiem I kiedy spoglądamy na swoje dzieło, możemy rzec sobie, iż jest ono większem, niż w rzeczywistości. Po za dziełem w jego skończonej, wyraźnej formie, przed nami staje inne, nieskończone w swoich siłach, nieobliczone w swoich skutkach, nierozstrzygnięte w swoich celach — tęsknota, ta wielka i wieczna, ta żywicielka artysty!“

A więc preludyum do nowej sztuki? Szkice, które winny nam pokazać zarodki, kiełkujące przed nami i mające z biegiem czasu wyrosnąć na nowe arcydzieła i nowe zasady twórczości artystycznej? Tak i nie, bo, zdaniem krytyka-impresyonisty, sztuka polega właśnie na wiecznej tęsknocie do czegoś nowego, każdy jej okres, o ile jest okresem budzenia się, jest wiecznem, nigdy nieskończonem preludyum: bo następnie, w tem dążeniu ku czemuś nieznanemu natrafia ona przecież na pewne granice, sprawiające, iż na chwilę preludyum zamienia się na aryę wykończoną.

„Każda sztuka, która nie wybiega po za siebie samą, jest martwa. Im bardziej drga życiem, tem mniej jest z siebie zadowolona i z tego, iż jest tylko pospolitą robotą. I gdyby była po tysiąc razy dojrzalszą nawet, bardziej sytą, niż wszystko, co mamy dzisiaj, to przecież tego byłoby za mało. Zeszłaby na ograniczoną przyjemność, zaledwie dotykającą ogromnego prądu. Właśnie nieustanne zetknięcie z życiem czyni ją twórczą i nadaje jej płodność: to, że pchana przez najpotężniejsze siły życia, wskazuje nowe życie, a przytem wyższe. Sztuka pragnie być pierwszym wyrazem nadchodzącej ludzkości, powstającej w niej duszy. Chce ona nadać głos temu, co w pewnym czasie zrodziło się; dąży do tego, ażeby pełzające nauczyć chodzić i unosić się w powietrzu. Nadewszystko zaś chciałaby zamienić się na czyn. Lecz każdy czyn, który chce powstać, musi jednocześnie umieć burzyć. Sztuka, ilekroć pragnie stwarzać nowe życie, musi niszczyć umierające — siła przyrodzona, działająca, jak działają pory roku, ślepa, ale ożywiona, śmiała i prąca naprzód! Sztuka znajduje się z życiem ludzkości w związku jak naściślejszym: nowa sztuka wymaga nowej ludzkości, jest jej zwiastunką i sojuszniczą.“

Takie jest zadanie krytyka: ma on odszukać w chwili dzisiejszej zarodki nowej ludzkości, a nowe kierunki sztuki mają przewodzić jego rozbiorowi. Sztuka przecież, sama w sobie i sama z siebie, nigdy nie tworzy, świadoma celów wytkniętych jej przez teoretyków. Jest ślepą, choć ożywioną, nieświadomą, acz posługuje się świadomością. Artysta ma tylko sztukę, nie ludzkość na widoku. Ażeby w sztuce, w taki sposób powstającej, można było odnaleźć pierwiastki przyszłości, potrzeba nowych zasad życia i nowych ludzi:

> ...Neue Menschen — neue Kinder,
> Finder, Sünder, Überwinder...

na to potrzeba, ażeby te żywioły istniały w duszy poety, malarza, słowem artysty. Preludye krytyczne, które mają nas zapoznać z zasadami nowej sztuki i nowej ludzkości, muszą być zarazem przyczynkami do zgłębienia psychologii ojców nowej sztuki.

Zadanie bardzo rozległe! W każdym razie Servaes postawił kwestyę w sposób bardzo szeroki i ponętny. Ale, zdaje się, nie zbłądzimy, twierdząc iż, ażeby podjąć analizę nadchodzącego życia i wyszukać jego zarodki w dążeniach sztuki, sam krytyk musi posiadać nieco rozmachu i polotu tytanów. Czy ów analityk-impresyonista posiada właśnie to źdźbło w jaźni swojej krytycznej? Artysta jest dzieckiem chaosu i ślepego acz czującego żywiołu. Nie wiedząc o tem, może wysnuwać z duszy swojej rzeczy, stojące po nad jego świadomością codzienną. Ale robota krytyka jest nawskroś świadomą.

Jaką więc jest świadomość tego, kto narzuca się nam na przewodnika, ażeby przed nami w teraźniejszości ukazywać złudne obrazy nastającego jutra?

Przeczytawszy książkę jego, pozostajemy pod wrażeniem silnem, ale już nietylko impresyonistycznem, tj. nietylko prawdziwem na jedną chwilę, podczas pewnego nastroju.

Olbrzymia arena, a raczej droga, ginąca wśród tumanów mgły. Po jednej stronie artyści członkowanego wyrazu, z pomocą jego nadający życie pierwiastkom przyszłości, rozproszonym dokoła nas. Anzengruber, Liliencron, Holz, Schlaf, Dehmel, Scheerbart, Hauptmann. Z drugiej tak samo ciągnący się w długiej linii, jako latarnie-drogowskazy, mistrze pędzla. A więc Menzel, Boecklin, Thoma, Liebermann, Klinger, Ury, Baluschek. Wrażenie z tych żyjących posągów dziwne. Niema tam zbieżności. Wprawdzie i ludzkość nie jest schematemześrodkowanym, lecz czemś, w czem różne, przeróżne sprzeczności mogą jednocześnie znaleźć przytułek. Ale rozbieżność jest większą, niż na to pozwala wyobraźnia o nadchodzącem a nieznanem jutrze. Rodzi się wrażenie, że przewodnik ma mądre teorye na ustach, ale że mu samemu zbrakło kryteryum i mówiąc o przyszłej ludzkości, mówi o paru bardzo odmiennych ludzkościach... Wreszcie jako punkt ostateczny, ku któremu zmierzają drogi, olbrzymia postać artysty i mistrza — Bismarcka! Tak, szkice kończą się sylwetką żelaznego kanclerza... „Mieliśmy bohatera, i nie posiadamy go więcej — w tych słowach da się streścić wszystko, co poczucie poetyckie czasów naszych straciło w Bismarcku...“ Preludye kończą się akordem osobliwym: sylwetką zmarłego polityka, jako materyału dla poety i jako duszy, która sama była poetycką...

Krytyk nie będzie więc tem, czem zapowiadał się w przedmowie. Pozostaje mu tylko jedno: metoda impresyonistyczna, zastosowana do tych, którzy nie idą pospolitemi ścieżkami — metoda impresyo-

*) Franz Servaes: *Praeludien, ein Essaybuch.*

nistyczna, tj. chwytanie u autora tego, co najwypuklej rzuca się w oczy, co na razie odróżnia pewien przedmiot od innych, chociaż przy bliższem poznaniu zaciera się, jak zacierają się barwy przypadkowo, odgrywające taką rolę u malarzy tego kierunku, przy wpatrywaniu się w różnych warunkach. I dodajmy, impresyonizm, z braku głębokości sądu, posługujący się wyrazem, niekiedy tak oklepanym, iż cała krytyka traci urok.

Przesuwają się więc przed nami sylwetki pisarzy i malarzy, mających być zwiastunami nowej sztuki i nowej ludzkości. Z pośród pierwszych — nad malarzami nie będziemy się zastanawiali — Servaes uważa Holza, współautora dramatu „Rodzina Selicke," za talent najbardziej rewolucyjny, swoimi sposobami twórczości najdalej odbiegający od pospolitych ścieżek.

Arno Holz jest w Niemczech ojcem „impresyonizmu naturalistycznego." Z tego powodu krytyk zaznacza, iż nowy zwrot w sztuce, dokonywający się obecnie, wszędzie posługuje się impresyonizmem, jako metodą dosięgnięcia celów artystycznych. Żadna epoka nie wykazywała takiej namiętności i takiej staranności w utrwaleniu lotnego, chwilowego wrażenia. Zeszło to na ludzkość jako objawienie. W pozornie niepokaźnem starają się odnaleźć doniosłe, w zmiennem to, co jest wiekuistem. Powiedziano sobie: jeśli nie odszukamy wieczności w obrębie jednej sekundy, w zetknięciu się godzin, tygodni i lat, to nigdzie więcej jej nie znajdziemy. Fotografia musi nam zachowywać chwilowe kontrasty światła, fonograf utrwalić przelotne dźwięki. Nadto wszystko powinno odznaczać się naukową dokładnością. Nawet stany nieświadome, uwydatniające się w grze naszych nerwów, w ruchu krwi naszej, pragniemy poddać spostrzeżeniu. Aż do najdrobniejszej cząstki sekundy pragniemy wszystko wymierzyć i utrwalić. Metoda ta, zastosowana do filozofii, wydała Nietzschego, w sztuce zrodziła impresyonizm. Holz ją rozszerzył na sferę artyzmu pióra. Rozpocząwszy swoją działalność pod wpływem naturalizmu, niebawem zerwał z nim, choć jednocześnie pozostał mu wiernym: stał się impresyonistą-naturalistą.

„Zola — rzekł on do siebie — wszystko widzi w zbyt wielkich konturach. Ale właśnie w tej wielkości tkwi konwencyonalizm. Tymczasem chodzi i powinno chodzić o drobne, subtelne rysy. Trzeba na to zwrócić uwagę, co przed nami się chowa, co przelotnie nam się ukazuje i co wreszcie w sumie swojej stanowi o dobrobycie lub zniechęceniu naszych stanów wewnętrznych. Całe odkrycie w tem spoczywa właśnie: dochodzimy do większej wrażliwości, z jaką odpowiadamy na wpływy świata zewnętrznego, do większej zdolności otrzymywania wrażeń, do bardziej wewnętrznego spostrzegania. Bo z jakich pierwiastków składa się nastrój! My powinniśmy zająć się jego analizą. Naturalnie, w następstwie takiego rozbioru, zniszczymy ten stan nasz, ten nastrój, ale zarazem nauczymy się świadomiej i całkowiciej go odbudowywać."

Jednocześnie Holz zwrócił uwagę swoją w kierunku stylu — jest on, jak wyraża się krytyk, nadewszystko kowalem i puszkarzem, tj. poszukiwaczem nowego stylu i nowych form oddawania wrażeń. Wszelkie wysiłki Holza są obracane na to, ażeby rozszerzyć sferę forteli sztuki i usunąć lub zmódz przeszkody, istniejące z tej strony, dla rozszerzenia jej szranek. Jako liryk, postanowił wyswobodzić lirykę z niewoli, w której znajdowała się ona względem rymu i miary. Przytaczamy jeden z takich utworów Holza, ażeby zaznajomić czytelnika z duchem nowego kierunku:

Das Feuer im Ofen knattert schon
durchs Fenster,
Das ganze Stübchen füllend,
Schneelicht.

Ich lese.

Huysmanas. La bas.

...

en sa splendeur blanche,
l'âme du Moyen Age rayonna dans cette salle...

Plötzlich,
irgendwo tiefer im Hause
ein Kanarienvogel.

Die schönsten Läufe!

Ich lasse das Buch sinken.

Die Augen schliessen sich mir.
Ich liege wieder da, den Kopf in den Kissen...

Tak wygląda nowa liryka: odległość wiersza od wiersza, miejsce, gdzie on rozpoczyna się, podkreślone ustępy, wszystko to posiada tam swoje znaczenie i winno wywrzeć wrażenie artystyczne, czyli, jak możnaby się żartobliwie wyrazić, rozszerzone znaki pisarskie powinny zastąpić melodyjność wiersza... Jak dotychczas, ta nowa sztuka w osobie Holza nie może poszczycić się zbyt wielkimi rezultatami, o ile chodzi o dorosłe pokolenia, bo zastosowana do bajek dla dzieci wydała podobno to, czego od niej oczekiwano: pozostawia wrażenie. Zresztą pisarz ten wywarł wpływ jako inicyator: dokoła niego powstała cała nowa szkoła, która w niejednem przeniewierza się swemu mistrzowi. Servaes doradza zatrzymać się z sądem, póki te ciągnące za Holzem zastępy naśladowców nie wypowiedzą swego ostatniego słowa. I nam nie spieszy się. Zaczekajmy więc...

Nie zapuszczamy się w treść innych sylwetek. Zaznaczymy, iż krytyk-impresyonista zbyt często podkreśla, uważając to za znamienny rys nowego kierunku, że wielu naszych pisarzy usiłuje uciec od człowieka i pogrążyć się, rozpłynąć w kosmosie. Większość ich to „Kosmiker." Zwłaszcza z całą siłą występuje to u Scheerbarta:

Lass die Erde! Lass die Erde!
Lass sie liegen, bis sie fault.

Pozostaw ziemię, pozostaw ziemię, niechaj leży, niechaj gnije! — radzi poeta i prowadzi nas w przestwory kosmiczne, uroczo wyglądające w pętach rymu, lecz cudacko w pospolitej mowie. Prowadzi więc na czarne błonia, nad któremi fruwają purpurowe anioły, a ich szkarłat rażąco odbija na zielonem niebie świata poety. A prowadząc nas wciąż, powtarza: porzuć ziemię, porzuć ziemię, niechaj śpi, niechaj gnije, a utwór kończy się wybuchem nienawiści:

Hasst die Erde! Hasst die Erde!

Poezya jest, a raczej ma być, według teoryi Servaesa, pierwszym wyrazem nowej ludzkości. Ale żadna nowa ludzkość chyba nie powstaje w imię haseł nienawiści do wszystkiego ziemskiego. Nienawiść taka może być właściwa jedynie rozbitkom pewnego stanu rzeczy, którzy nietylko swoją myślą, ale i uczuciem nie ogarniają nic nowego i twórczego, uciekają od własnych bólów i rozczarowań doczesnych i przedstawiają nie nową ludzkość, lecz negacyę rasy społecznej, sobie współczesnej.

K. R. Z.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Quod erat demonstrandum.

Rozmaitości wznowiły 10 sierpnia sztukę Kazimierza Zalewskiego „Nasi Zięciowie." Rzecz ta spoczywała w pyle dziesięcioletniego zapomnienia i uchodziła w swoim czasie za utwór tendencyjny, co obecnie krytyka przypomina i dodaje, że świat, z którego autor czerpał wzory i wzorki, uległ znacznemu przeobrażeniu. Jeżeli tak jest, to krytycy współcześni mają zadanie znacznie ułatwione i ocena sztuki może być bezstronniejszą pod względem dwojakim: co do wartości artystycznej utworu tendencyjnego i co do wartości tendencyi, mającej działać za pośrednictwem utworu. Czas wygładza bowiem kanty tendencyi i wyłuskuje ziarno ogólnoludzkie, decydujące zarazem o wartości artystycznej. W tym wypadku zatem okaże się niezmiernie wygodną zasada zbadania utworu najpierw pod względem artystycznym, gdyż to już uprości rewizyę dążności.

Od chwili pojawienia się po raz pierwszy „Naszych zięciów" na scenie Rozmaitości zaszły znaczne zmiany w repertuarze teatrów Europy. Rozgościł się na dobre Ibsen, wkroczył Hauptman, zaczęto nawet zajmować się Maeterlinckiem. Na pierwszy rzut oka widzimy, że „Nasi zięciowie" nie należą do żadnej z grup reprezentowanych do pewnego stopnia przez trzy powyższe nazwiska. Należą oni do znacznie starszej formacyi scenicznej, w której dokopalibyśmy się takich nazwisk, jak Sardou, Ohnet itp. Jest to zatem ów typ współczesnej komedyi salonowej, którą uprawia jeszcze znany ze sceny warszawskiej Brieux. Założenie nie wynika z charakterów, lecz do niego przystosowane są charaktery. Dlatego widz wychodząc z teatru powiada sobie: *quod erat demonstrandum.* Jest to zatem już w samej zasadzie stanowisko dydaktyczne a nie artystyczne. *Exempla nihil trahunt.* Czterem zięciom z sztuki Zalewskiego można przeciwstawić tysiąc zięciów z życia. Jeżeli zaś autor przedstawi charaktery w taki sposób, że widz sam sobie tezę utworzy, to powiemy o nim, że nietylko posiada talent plastyczny, ale jest zarazem filozofem praktycznym. W pierwszym wypadku utwór będzie tendencyjnym, w drugim ideowym.

Przypatrzmy się osnowie sztuki. Jest ona niezmiernie prosta. Bogaci Żydzi powydawali córki za zbankrutowanych hrabiczów, którzy trwonią posagi żon, na co teściowie nie chcą pozwolić. Wyjątek stanowi hr. Janusz. Taki stan rzeczy staje się powodem ogólnego niezadowolenia; zięciowie wciąż żądają pieniędzy, córki miłości, a teściowie są za głupi, aby dali sobie radę w tak trudnem położeniu. Córki poczynają uprawiać miłość pokątną, zięciowie podchodzą teściów. Wszyscy zaś są po części ofiarami pośredniczki w zawieraniu małżeństw, która upatrzyła sobie nową parę w osobach Horskiego i Loli. Tu właściwie rozpoczyna się sztuka. Żelski, przyjaciel Horskiego, człowieka bogatego i szlachetnego, pragnie przeszkodzić zawarciu tego związku i podejmuje walkę z pośredniczką. Jedynym środkiem jest puszczanie plotki, że Horski stracił majątek. Lola bowiem widzi w każdym młodzieńcu łowiposaga, Horski jest natomiast dumny i nie chce uchodzić za takiego człowieka. Niebawem para ta zgłębia się wzajemnie, Żelski dochodzi do wniosku, że tym razem wchodzi w grę miłość a nie interes, lecz już zapóźno. Siew intrygi wydaje owoc katastrofy. Ojciec Loli posądza Horskiego o interesowność i zapóźno dowiaduje się o tem, że młodzieniec należał do typu wyjątków, gdyż urażony Horski wyjeżdża. Stary litewski szlagon, który w pierwszym akcie wpadł pomiędzy tych ludzi, dochodzi w piątym akcie do wniosku, że niema tu co robić. Zresztą kupiec jakiś oświadcza się o rękę jego córki i zostaje poprostu wyśmiany. Żydzi traktują małżeństwo jako interes, szlachta zaś nie—*quod erat demonstrandum.*

W takich warunkach najszlachetniejsze jednostki pokutują za winy cudze. *Quod erat demonstrandum.*

A jednak bywają wyjątki, jak naprzykład hr. Janusz. *Quod erat demonstrandum.*

Ponieważ autor wprowadza nas do domu „pośredniczki,“ przeto przesuwa odrazu ogromną ilość sylwetek, które nie mogą spraw swych załatwić w akcie pierwszym i dlatego zjawiają się w piątym grupami. Akcya po zbiorowym akordzie wstępu nie toczy się około dwu lub trzech osób, lecz obejmuje wszystkie. Ponieważ jednak osób tych nic łączy wspólny interes, lecz każda z nich ma interesy i interesiki odmienne, przeto w sztuce przy takiem nagromadzeniu figur jest czas i miejsce tylko dla dwóch momentów, dla nawiązania i rozwiązania akcyi, natomiast brak zupełny czasu dla spiętrzenia akcyi, przełomu i przeszkód, to jest aktu drugiego, trzeciego i czwartego i mamy prawie wciąż ekspozycyę i katastrofę, to jest akt pierwszy i piąty. Tego rodzaju snucie akcyi jest tylko możliwe wtedy, jeżeli bohaterem jest tłum, poruszony jedną dążnością, jak to widzimy w „Tkaczach“ Hauptmana. Ale ani „zięciowie“ nie są „tkaczami,“ ani też teściowie Dreissigerami. Zdanie nasze co do owego sposobu prowadzenia biegu wypadków znajduje też potwierdzenie w akcie trzecim, który się łamie i łamie całą sztukę, tworząc z jednej połowy założenie, z drugiej rozwiązanie. Pozwolilibyśmy sobie formę tę nazwać anegdotyczną. Dlatego też akt trzeci jest najsłabszy, gdyż nie stanowi „przełomu“ w akcyi, tylko „przejście.“

Tego rodzaju akcya nie daje też autorowi możności głębszej i dosadniejszej charakteryzacyi wprowadzonych osób. Każda z nich występuje w pierwszym akcie na scenę jako utwór gotowy, skrystalizowany, żąda czegoś, otrzymuje lub nie otrzymuje i stosownie do tego ucieszywszy się lub zasmuciwszy, wychodzi. Widzimy bowiem tylko osoby te w założeniu sztuki i w jej rozwiązaniu. Wyjątek stanowią poniekąd Horski i Lola. Są to jednak osoby podporządkowane tezie sztuki, więc charakterystyka ich musi być „ad usum.“ Typy kupców, bankierów i obywatela są traktowane konwencyonalnie, według *Much*, *Kolców* i *Kuryerów Świątecznych*, zupełnie anegdotycznie. Są to karykatury o wytartym stemplu, nie ludzie żywi, wzięci z obserwacyi. Życie nadaje im tylko wprost znakomita gra aktorów.

Akcyę i charakterystykę zastępuje retoryka. Bohaterzy nietyle działają, ile rozwodzą się nad działaniem, poznajemy ich nie z czynow, ale z tego, co o sobie mówią. Pod tym względem najciekawszą osobistością w sztuce tej jest hr. Janusz, który zjawia się na scenie raz jeden, tłomaczy się, dlaczego przed tylu a tylu laty ożenił się z Żydówką i znika bezpowrotnie. A może kłamał? Ma on służyć za przykład, że w pewnych warunkach podobne małżeństwa są możliwe. *Quod erat demonstrandum.*

Są także figury, wprowadzone zupełnie niepotrzebnie, jak naprzykład Efroimowicz. Zajmuje podobno w świecie finansowym stanowisko udzielnego księcia. Czy tak jest istotnie?—zapytuje Horski. Efroimowicz zjawia się, wszyscy zrywają się z miejsc. Stockfindel powiada Horskiemu: „teraz pan wiesz, kto to jest pan Efroimowicz.“ *Quod erat demonstrandum.* Efroimowicz nic wypowiada ani jednego słowa i zasłona zapada. Może temu zgromadzeniu zdaje się tylko, że to potentat? Ustęp ten jest stanowczo tylko anegdotką.

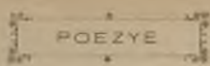
Do charakterystyki formy tej sztuki wypada dołączyć ruch figur na scenie. Monologi, ów nowoczesny sposób ułatwiania akcyi, zapowiadają dalszy ciąg biegu wypadków, wyrażają postanowienia i t. p. W dyalogach zaś dzieje się przeważnie jak w galopadzie z figurami: po obu stronach sceny dwoje drzwi; więc najprzód z pierwszych drzwi po lewej wychodzi para, rozmawia, a autor usuwa ją przez drugie drzwi po prawej, następnie z pierwszych drzwi po prawej wychodzi inna para i po dyalogu znika drugiemi drzwiami po lewej — i tak dalej, wprost i na krzyż. Tak może się wprawdzie zdarzać na rancie u bogatych ludzi, posiadających dla przyjęć całe piętra; ale tak niepowinno dziać się w sztuce dobrze zbudowanej.

Zdaje nam się, że był to materyał albo na jakie pięć sztuk, albo na żadną. Główną przynętą byłaby zatem tendencya, o ile wartość jej okazałaby się istotną. Tendencya ta da się wyrazić w kilku słowach. Kupcy i bankierzy z powodu ogromnej głupoty poszukują dla córek zbankrutowanych hrabiów; stąd wypływa, że córki nie są szczęśliwe, jeszcze mniej zadowolenia moralnego doznają teściowie; jeżeli zaś zjawi się jakiś porządniejszy konkurent, to musi uciekać, bo w zacność jego nie uwierzą, lub uwierzą zapóźno. Tendencya ta byłaby dobra, jak milion innych; wymaga jednak poparcia faktami, czyli w sztuce akcyą i charakterystyką osób. Pod tym względem spotykamy się w utworze Zalewskiego z formą przestarzałego i taniego antysemityzmu. Świat kupiecki i bankierski ani dziś, ani przed dziesięciu laty tak nie wyglądał, tak naiwnym, tak śmiesznym nie był, bo inaczej nie doszedłby do tego stanowiska, jakie obecnie zajmuje w społeczeństwie naszem. Podobnie jowialne typy dadzą się może wyłowić na Dzikiej lub Gęsiej, ale nie tam, gdzie bywa hr. Janusz, książę Roman, Horski i Dormund. Świat ten ma swoje tragedye i komedye; ale Zalewski przechodząc około tej kopalni złota, zapełnił kieszenie tylko bezwartościowym kwarcem. Tam bywają zawikłania potwornie tragiczne i potwornie komiczne, ale Zalewski tych zawikłań nie spostrzegł. Nie jest to zatem sztuka obyczajowa, jeno niezmiernie płytka, choć nader błyskotliwa karykatura, nie portret, nawet nie szkic, bo i szkic zawiera cechy znamienne w grubych liniach. Tych cech znamiennych brak nam tutaj. Czy ma być nią żargon? Jest to fałsz. Żydzi w tych sferach mówią znakomicie po polsku, dostarczyli nam literatów i uczonych, jeżeli zaś w tym odłamie społeczeństwa warszawskiego język polski potoczny mimo nieraz wytworności nie posiada cech rodzimych i zatrąca sztucznością, to jeszcze daleko, bardzo daleko do żargonu „pysałem lyst na ymyny,“ w którym „stoi wyraźnie jak bik.“ Nie przeczymy, że zręczność, błyskotliwość i koncepty nieraz wcale dobre, tworzą z tej sztuki obraz, bawiący publiczność, usposobioną względem Żydów nieprzychylnie. Ale zdaje się nam, że tego rodzaju antysemityzm nie jest żadną siłą — zdrową, czy niezdrową. W sztuce zaś nie powinno chodzić o antysemityzm, ale o obyczaje, o charaktery a przedewszystkiem o samą sztukę. Rozumiemy i uznajemy za pożyteczne poruszanie w dziełach sztuki różnych „kwestyj“ znaczenia ogólnego, rozumiemy i uznajemy potrzebę przypatrywania się od czasu do czasu nietylko zięciom, ale i teściom: rozumiemy i uznajemy za słuszne chłostanie wad i przywar, skłonności i brudów szlachty, mieszczan, chłopów, robotników, aryjczyków, semitów i tak dalej, ale uważamy wprost za ordynarne, aby w tragicznem położeniu i splocie losowym dwóch ras, nie mogących odnaleźć wspólnego „modus vivendi,“ jedna strona zwracała się do drugiej słowy: „Mojsze bankier, ty potrzebujesz wiedzycz, co ja mogę tobie nawymyszlacz.“

Quod erat demonstrandum.

Andrzej Niemojewski.





Z seryi lirycznej.

DO PIĘKNEJ.

O, tak! zaprawdę! jesteś piękną!
Na co ci inny Bóg?...
I tak przed tronem twym uklękną
Czciciele nizkich dróg!

Tysiące niecnych wkrąg płomieni,
Tysiące wzniecisz żądz, —
Twym szlakiem pójdą zaślepieni,
Ci walcząc, a ci — klnąc.

Gdzie tylko zwrócisz wzrok łaskawy,
Tam ślepy wstanie szał,
By tu—na miejsce bożej sprawy
Szatańswu berło dał!

Żelazo w ręce włożysz bratu,
By w miłość zbrodnię wsnuć —
I by ukazać w pełni światu
Tryumfującą chuć!

Nie będziesz nawet winną zbrodni,
Na krwawy wiodąc chrzest,
Bo zbrodnią twoją najwyrodniej
Twa własna piękność jest!

Jak żywioł, który wszystko zmiata,
Jak wiekuisty kłam,
Przez świat przechodzisz jaśniejąca
Tryumfem piekła bram!

Na wieczny odzew serca głucha,
Tu owoc chwili rwiesz:
Porywom szczytnym bluźnisz ducha
I znojom całych rzesz!

Pod rzęs cieniami złowieszczemi
Twa noc gwiazdami lśni:
Ty świt opóźniasz tu na ziemi
Zapowiedzianych dni!

Bierności twojej straszne znamię,
Jak najzawziętsza broń,
Bo Prawda w tobie nawet kłamie
I w mętną spada toń!

Na czole twojem człowieczeństwa
Zbyteczny całkiem znak:
Pięknością jesteś... Bezeceństwa
Twój uprawniony szlak!

Ni cnoty zaląnić ci skarbnicą,
Ni ciepło krzewić gniazd:
Cyniczna piękna bezbożnico!
Wysłanko ciemnych gwiazd!

Nie tobie spłonąć oburzeniem,
Nie tobie Boga chcieć:
Zwierciadło twojem jest sumieniem,
Twem prawem — twoja płeć!

Jedna rzecz tylko z tobą w parze
Bezdusznych prawem brył
Iść godna cennie na ołtarze,
By krwawy wzniecać pył:

To — cielec złoty! Z twą pieszczotą
Zgodzony słusznie ład:
Potęga światła!.. Ty — i złoto!
Tańczący wkoło świat!

Przekląć by ciebie dziś i w grobie
Za życia straszny gwałt,
Gdyby co było przekląć w tobie
Nad dotykalny kształt!

Idź — zdążaj!.. Męty życia spodów
I trwogę ciemną pleń!..
Sprawiedliwości — ducha godów
Nie nadszedł jeszcze dzień!

Idź - zdążaj!.. Tam, gdzie przemoc jawna
Swych nizkich szuka dróg, —
Bo w niebie tobą już oddawna,
Jak pomstą, gardzi Bóg!

Józef Jankowski.

O PRAWDĘ.



Hotel Lambert.

Na uwagi nasze o świeżo zamkniętym Hotelu Lambert w Paryżu odbieramy odpowiedź następującą:

Celem Instytutu było kształcenie wychowanek (przeważnie córek emigrantów) na nauczycielki podług programu, obowiązującego średnie zakłady naukowe żeńskie we Francyi, z uwzględnieniem języka polskiego, historyi i literatury ojczystej. Młodsze uczenice pobierały nauki na pensyi, starsze uczęszczały na wykłady do Sorbony (średnie kursy historyi, literatury i nauk przyrodniczych) i przygotowywały się do egzaminów rządowych. Nauki prowadzono systematycznie, dbałość o postępy była wielką. Codzienne repetycye, częste egzaminy konkursowe ułatwiały nauczycielom oraz uczenicom pracę i sprawdzanie odnoszonych z niej korzyści. To też rezultaty w końcu roku bywały jak najlepsze. Znaczny procent uczenic, otrzymujących po ukończeniu Instytutu patenty rządowe (brevet simple i brevet superieur), liczne odznaczenia i medale, zdobywane corocznie w Sorbonie, świadczą, że Hotel Lambert ani programem, ani sumiennością w przeprowadzaniu go nie ustępował innym zakładom naukowym w Paryżu.

Dzięki staraniom i osobistemu kierownictwu hrabiny Działyńskiej, która była wielką znawczynią i miłośniczką muzyki, oraz cennym wskazówkom niedawno zmarłej księżny Marceliny Czartoryskiej, Hotel Labert był także doskonale zorganizowaną szkołą muzyczną. Uczenice o wybitniejszych zdolnościach miały możność pobierania lekcyj gry fortepianowej lub skrzypcowej, śpiewu i harmonii od pierwszorzędnych profesorów, a nawet po ukończeniu kursu nauk mogły nadal pod ich kierunkiem rozwijać swój talent, korzystając z lekcyj w Instytucie. Jak w naukach, tak i w muzyce wymaganą była sumienna i gruntowna praca. Uczenice mniej zdolne uczyły się także muzyki, ale poświęcały jej niewiele czasu, aby natomiast w innych przedmiotach więcej korzystać.

Żadna szkoła średnia, którą się kończy między 17 a 20 rokiem życia, nie może dawać ani uczonych, ani artystów. To też myślę, że „dobrze ułożone dyletantki" z Hotelu Lambert nie są wyjątkiem wśród ogółu panien polskich, szlacheckich czy nieszlacheckich, kończących inne pensye, których zamknięcia nikt sobie jednak nie życzy. (Jeżeli są „dobrze ułożone," to chyba nikomu szkodzić nie powinno. Zapewniam zresztą, że w Instytucie polskim nie było żadnych lekcyj dobrego tonu, ani wykładów z savoir vivre, jak to niejeden sądzić może z artykułu *Prawdy*).

Na słuszną uwagę, że Hotel Lambert nie mógł dawać szczęścia, odpowiem tylko, że nie widzę, w jaki sposób wogóle zakład naukowy może zapewnić szczęście — proszę mi pokazać taką szkołę. Będzie to zapewne szkoła przyszłości, gdyż dotąd nic podobnego nie istniało w świecie.

Niechęć znacznej części naszego społeczeństwa do Instytutu polskiego, do Hotelu Lambert, daje się wytłomaczyć jedynie ową „nienawiścią różnic," o której niedawno pisał Poseł Prawdy. Nienawiścią — niesłuszną, gdyż różnice polegały na czysto zewnętrznych formach, które istoty rzeczy stanowić nie mogą.

Marya Śliwińska.



W DALI.

Petersburg. W *Zbiorze praw* ogłoszono ustawę Instytutu wschodniego we Władywostoku. Ma on na celu przygotowanie słuchaczów do służby w administracyjnych i handlowo-przemysłowych instytucyach Rosyi wschodnio-azjatyckiej i państw ościennych. Przy instytucie, pod kierunkiem jego dyrektora, jest gimnazyum męskie. Instytut pozostaje pod zarządem ministeryum oświaty, a w bezpośrednim zawiadywaniu generał-gubernatora nadamurskiego. Kurs trwa cztery lata i zaczynając od drugiego okresu szkolnego, dzieli się na cztery wydziały: chińsko-japoński, chińsko-koreański, chińsko-mongolski i chińsko-mandżurski. Przedmioty ogólne na wszystkich czterech wydziałach: nauka religii, język chiński, angielski i francuski (ten ostatni nie obowiązujący), ogólny kurs geografii i etnografii Chin, Korei i Japonii z ogólnym poglądem na ustrój polityczny i wyznaniowy; ustrój polityczny Chin współczesnych i przegląd działalności handlowo-przemysłowej tego państwa: najnowsze dzieje (wiek XIX) Chin, Korei i Japonii w związku z historyą stosunków Rosyi z tymi krajami; geografia handlowa Azyi wschodniej i historya handlu dalekiego Wschodu; ekonomia polityczna; prawo międzynarodowe: zarys ustroju państwowego Rosyi i głównych mocarstw europejskich; zasady prawa cywilnego i handlowego; buchhalterya i towaroznawstwo. Do specyalnych przedmiotów wykładowych w Instytucie należą: 1) na wydziale chińsko-japońskim język japoński i przegląd ustroju politycznego, oraz handlu i przemysłu w Japonii współczesnej; 2) na wydziale chińsko-koreańskim język koreański i przegląd ustroju politycznego, oraz handlu i przemysłu Korei współczesnej; 3) na wydziale chińsko-mongolskim język mongolski i przegląd ustroju politycznego i ekonomicznego Mongolii z objaśnieniem znaczenia lamaizmu dla kraju tego, oraz przegląd handlu i przemysłu; 4) na wydziale chińsko-mandżurskim język mandżurski i przegląd ustroju politycznego i ekonomicznego Mandżuryi współczesnej. Niezależnie od uczęszczania na właściwe wykłady Instytut wysyła studentów podczas wakacyj do ościennych państw wschodnich dla nabrania wprawy w językach; przyjmuje z początkiem roku szkolnego bez egzaminu młodzież, która ukończyła średnie zakłady naukowe różnych typów; posiada internat i pewną liczbę stypendyów rządowych. Na wykłady mogą uczęszczać także osoby postronne z określonem stanowiskiem społecznem lub zajęciem. Instytut przyjmuje corocznie do grona słuchaczów 4 oficerów, wybranych przez generał-gubernatora nadamurskiego. — Do zatwierdzenia ministeryum oświaty złożono projekt ustawy t. zw. uniwersytetów wędrownych. Słuchacze tych zakładów naukowych mają być zaznajamiani między innemi z językami starożytnymi, matematyką, naukami przyrodniczemi, rysunkami technicznymi, przedmiotami handlowymi i technicznymi; dalej zadaniem ich ma być ułatwienie zdawania na rangi, uzyskanie praw do wstąpienia do wojska w charakterze ochotnika itp. Prawo zakładania uniwersytetów wędrownych pozostawia się instytucyom społecznym i stanowym; otwieranie ich ma zależeć od kuratorów okręgów naukowych, jak również wybór przedmiotów, jakie mogą być wykładane, liczba godzin wykładowych, ich cały kurs, wreszcie wybór profesorów i liczba słuchaczy, jednocześnie z określeniem, z jakich warstw mogą być oni rekrutowani.

Wilno. W ostatnich latach rolnicy w guberni Wileńskiej coraz dotkliwiej odczuwają brak rąk roboczych. Przemysł fabryczny, emigracya i wędrówki włościan poszukujących zarobków gdzieindziej, sprawiły to, że ziemianie są w krytycznem położeniu. W roku bieżącym sprzęt zboża ogromnie jest spóźniony i utrudniony. Grozi to katastrofą. To też wielu obrotniejszych i energiczniejszych myśli o możliwie najszerszem rozwinięciu pracy maszynowej, która doprowadziłaby do minimum potrzeby pracy mięśniowej.



KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Poruszono sprawę wydawania już obecnie z kasy emerytalnej kolei skarbowych emerytur dzieciom i sierotom po urzędnikach, którzy służyli najmniej 10 lat.

— Zarząd m. Odesy pociągnął był adwokatów przysięgłych do opłaty podatku szpitalnego. Jeden z nich oparł się temu na drodze sądowej, i obecnie, jak donoszą *Birż. Wied.*, senat wyjaśnił, że adwokaci przysięgli są wolni od podatku szpitalnego, gdyż należą do osób urzędujących, niezapisanych do tabeli urzędowej.

— Poruszono sprawę podwyższenia płacy dodatkowej na mieszkanie (o 5%, czyli w stosunku 30% od pobieranej płacy etatowej) pracownikom kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, mieszkającym w Warszawie.

— Senat rządzący wydał polecenie zjazdom sędziów pokoju, ażeby w razie powołania się stron na świadków dodatkowych, ci bezwarunkowo byli wzywani do zjazdu. W razie niepowołania, zjazdy w protokółach posiedzeń sądowych obowiązane są wyszczególnić motywy, jakimi kierowały się przy niespełnieniu żądań stron. Rozporządzenie to dotyczy wyłącznie spraw kryminalnych.

— Ministeryum sprawiedliwości poruszyło projekt ograniczenia adwokatów wyznania mojżeszowego co do spraw upadłościowych. Szczególna uwaga ma być zwrócona na kuratorów mas upadłościowych. Tymczasem, aż do dalszego rozporządzenia, ministeryum sprawiedliwości poleciło, ażeby adwokaci-Żydzi nie mieli spraw upadłościowych więcej, niż trzy.

Szkoły. Klasa szósta trzeciego gimnazyum męskiego w Warszawie otrzyma od nowego roku szkolnego oddział równoległy.

— W gimnazyum praskiem powstaje oddział równoległy przy klasie 3.

— *Warsz. Dn.* donosi, że rektor uniwersytetu warszawskiego rz. r. st. Zenger, zgodnie z własnem życzeniem, składa swój urząd od nowego roku akademickiego.

— W osadzie Studzieniec otwarto szkołę elementarną dla dzieci urzędników i oficyalistów miejscowych.

— W szkółce leśnej, w Drewnicy, na początku roku szkolnego otwarty będzie internat.

— Na mocy rozporządzenia p. ministra skarbu z dnia 31 lipca r. b., szkoła 7-klasowa handlowa Edwarda Rontalera w Warszawie otrzymała wszystkie prawa szkół rządowych. Uczniowie, którzy ukończą całkowity kurs nauk, korzystają z praw, służących wychowańcom szkół realnych rządowych, zarówno pod względem powinności wojskowej, jak i wstępowania do wyższych zakładów naukowych specyalnych, oprócz tego otrzymują stopień naukowy kandydata nauk handlowych.

— W Petersburgu powstaje szkoła rytownicza dla kobiet. Uczenice pobierać będą naukę rysunków, drzeworytnictwa itd.

— Na 250 miejsc wolnych w politechnice warszawskiej, podania o przyjęcie złożyło 800 kandydatów: właściwie z powodu nieprzejścia wszystkich studentów na kursy następne, miejsc wolnych będzie ledwie 200. Wykłady będą rozpoczęte dnia 1 września, egzaminy konkursowe od d. 13 b. m. Roboty około przerabiania gmachu na czas rozpoczęcia wykładów będą wykończone. Zarząd politechniki układa się z rodziną ś. p. dr. Chałubińskiego o nabycie pozostałych po nim zbiorów mineralogicznych. Etat utrzymania instytutu oznaczono na r. b. w sumie rb. 180,125 *(Wiek)*.

Konkurs. Rozstrzygnięto konkurs *Gazety Polskiej* na fejleton humorystyczny. Pierwszą nagrodę w kwocie 50 rb przyznano p. Romanowi Jungiewiczowi za humoreskę p. t. „Kartka z pamiętnika panny Lodzi".

Koleje i komunikacye. Z polecenia ministeryum komunikacyi na zbliżającym się jesiennym zjeździe naczelników ruchu i transportów kolei żelaznych, będzie poruszoną sprawa zaprowadzania na wszystkich kolejach specyalnych wagonów do przewożenia obłąkanych, trędowatych i pokąsanych przez wściekłe zwierzęta.

Zdrowie publiczne. Urzędowo stwierdzono dżumę w Portugalii. Zogniskowała się ona w mieście Opor-

to. Dotychczas środki przeciwdziałania są bardzo niedołężne.

Wystawy i zjazdy. Dnia 26 b. m. w Krakowie otwarta będzie wystawa kart korespondencyjnych.

— Dnia 7 września w Radomiu otwarta będzie wystawa przemysłowo-rolnicza.

— We wrześniu odbędzie się w Krakowie zjazd dziennikarzy słowiańskch.

— W Londynie pomiędzy 8 a 12 b. m. odbył się kongres lekarzy uczonych, na który przybyli przedstawiciele całego świata.

— Na trzecim zjeździe pszczelarzy, który odbył się w r. z. na Kaukazie, podniesiono fakt, iż lud prosty uważa miód jako środek leczniczy w wielu chorobach. Z drugiej jednak strony w łonie członków zjazdu powstała wątpliwość co do zalet leczniczych miodu, wobec wypadków, gdzie przyjmowanie miodu wywoływało skutek niepożądany. Po za tem wyjaśniono, iż miód, zbierany przez pszczoły z niektórych kwiatów, posiada własności trujące, zawiera bowiem pewne niezbadane dotąd alkaloidy. Z tego względu zjazd postanowił zwrócić uwagę lekarzy na cechy lecznicze miodu przez zastosowywanie go. w klinikach i szpitalach i prosić o zbadanie, czy miody z azalii lub innych kwiatow, niezdatne na pokarm. nie posiadają własności leczniczych, przy należytem ich użyciu i przygotowaniu. Nadto Towarzystwo pszczelnicze zwróciło się do uniwersytetu warszawskiego z prośbą o wzięcie pod uwagę sprawy powyższej przy oznaczaniu tematów do rozpraw na stopnie naukowe.

— W grudniu r. b. odbędzie się w Petersburgu 3 zjazd budowniczych. Jednocześnie urządzone będą dwie wystawy: architektoniczna i materyałów budowlanych.

Przemysł i handel. Na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej wprowadzono wagony nowego typu do przewozu mleka.

— W ministeryum rolnictwa poruszono sprawę zawiązywania włościańskich Kółek rolniczych na wzór zagranicznych.

— Przedstawiciel jednej z belgijskich fabryk maszyn nabył pod Radzyminem wielkie grunty, gdzie ma być zbudowana fabryka lokomotyw i wagonów. W przedsiębiorstwie tem uczestniczą i kapitaliści miejscowi.

Zmarli. Adolf Abrahamowicz, w Galicyi, komedyopisarz.

— R. W. Bunsen, w Berlinie, sławny chemik, ur. r. 1811.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Августа 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.